ŚWIAT

Nr. 27
3. VII. 1937.
CENA 1 ZŁ.



KAROL II
KRÓL RUMUNJI

PRZYBYŁ DO POLSKI WRAZ Z SYNEM, WIELKIM WOJEWODĄ MICHAŁEM. POBYT W POLSCE MONARCHY ZAPRZYJAŹNIONEGO PAŃSTWA ZADOKUMENTOWAŁ SCEMENTOWANIE SOJUSZU POLSKO-RUMUŃSKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 27 3. VII. 1937

LEON CHRZANOWSKI

TRYUMFALNE DNI SOJUSZU

Pobyt króla Karola w Polsce przeistoczył się z podróży dyplomatycznej w tryumfalny pochód sojuszniczy.

Tak być powinno!

Z zadowoleniem konstatujemy ten stan rzeczy. Szerokie masy ludności polskiej witające entuzjastycznie króla Karola dały wyraz nietylko swej sympatji dla narodu rumuńskiego, nietylko czci dla dostojnego gościa, ale również wyrobienia i zrozumienia politycznego.

Nasz sojusz z Rumunją był od pierwszych dni odzyskania niepodległości jednym z fundamentalnych założeń naszej polityki międzynarodowej. Wielokrotnie już oba państwa odczuwały pożyteczność i dobroczynne skutki tej polityki sojuszniczej. Czy to było na terenie Ligi Narodów w Genewie, czy w Locarno, czy na konferencji ekonomicznej, czy rozbrojeniowej, w Lozannie, Genui — we wszelkich wystąpieniach antyrewizjonistycznych, dla ubezpieczenia pokoju, hamowania tendencji supremacji mocarstw —zawsze, gdy zdecydowana spójnia i solidarna akcja polityków i dyplomatów Rumunji i Polski była wyraźna i zdecydowana, zawsze wówczas pokojowy dwugłos rumuńsko-polski miał swą dobitną, nieraz decydującą wagę. Jednym z najbardziej przezornych, dalekowzrocznych wskazań Marszałka Piłsudskiego był nakaz utrzymania i pielęgnowania sojuszu z Rumunją.

Nakaz ten wypełniony skrupulatnie i z wielkim przekonaniem przez wszystkich naszych ministrów spraw zagranicznych, że przypomnimy tylko Skirmunta, Aleksandra Skrzyńskiego, Augusta Zaleskiego, stał się tradycją i kontynuowany był przez ich następcę.

Od czasu wizyt Marszałka Piłsudskiego w Rumunji, od czasu rewizyty króla Ferdynanda i królowej Marji ustaliła się *ciągłość tej polityki sojuszniczej. A ciągłość świadomej polityki zagranicznej to rzecz olbrzymiej wagi.*

Wielkie dni sojuszu z Rumunją, jakie przeżywamy, są tej ciągłości ukoronowaniem. Król Karol II przybył do nas po wizycie Prezydenta Mościckiego w Bukareszcie i po wizycie Wielkiego Wojewody Michała w Polsce. Nie jest to więc jedna wizyta, są to objawy stałej przyjaźni i tak też w świadomości mas zostały zapisane. Król Karol II-gi przybył do nas ze swym synem księciem Michałem — to jeszcze jeden dowód ciągłości sojuszniczej myśli politycznej.

Król przybył do nas z synem wychowywanym i kształtowanym politycznie przez siebie. Niemal u kolebki swej myśli politycznej i państwowej młodzieńczy następca tronu Rumunji znajduje sojusz z Polską, jako pierwszą wskazówkę dla kształtowania swego światopoglądu politycznego. Trzecie więc już pokolenie rumuńskiej rodziny królewskiej działa pod znakiem przyjaźni i sojuszu z Polską.

Ma to i mieć będzie niewątpliwie wielkie znaczenie dla rozwoju i siły sojuszu polsko - rumuńskiego.

Sojusz nasz jest nietylko sojuszem wspólnych granic, wspólnego bezpieczeństwa, wspólnych interesów pokojowych. Sojusz Rumunji i Polski ma w sobie walory twórcze — może on być korektorem niektórych poczynań mocarstw, może być regulatorem wielu posunięć realnej polityki na wschodzie Europy. A jako taki musi mieć ważkie reperkusje i na politykę światową wogóle, a na zachodzie i w centrum Europy w szczególności.

Te wszystkie wielkie walory sojuszu Polski i Rumunji sprawiły, że dziesiątki tysięcy polaków manifestuje swe zadowolenie i witając króla Karola nie dawały one upustu gościnnej i zewnętrznej tylko radości — ale podkreślały głębokie zromienie znaczenia tej królewskiej wizyty. Wiwatowano na cześć Monarchy zaprzyjaźnionego państwa, witano sojusznika króla - żołnierza, który, z zachwytem patrząc na naszą armję, na jej postawę i ekwipunek, wiedział, że jej bojowa dzielność i gotowość są takimi atutami pokoju jak sprawność i patrjotyczna bitność armji rumuńskiej.

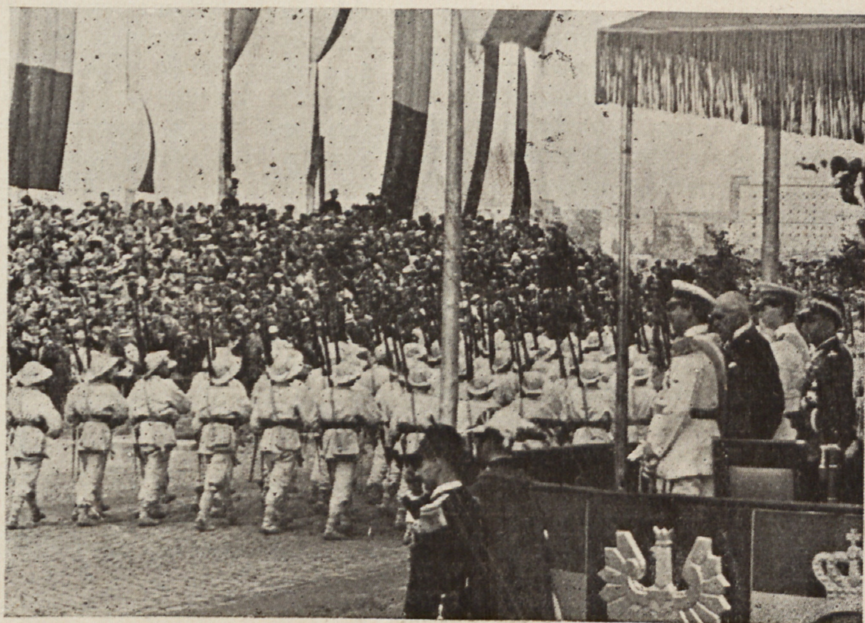
KRÓLEWSKA WIZYTA



Zdjęcie powyżej: król Karol wraz z Panem Prezydentem Mościckim w drodze z dworca w Warszawie do pałacu Łazienkowskiego, który był siedzibą króla i księcia Michała w czasie ich pobytu w naszej stolicy



Zdjęcie powyżej: po przybyciu do pałacu Łazienkowskiego król Karol wraz z Panem Prezydentem ukazali się na balkonie apartamentów królewskich. Król wyraził swój podziw dla piękna i uroku Łazienek



Zdjęcie obok: w drugim dniu pobytu monarchy rumuńskiego w Warszawie odbyła się na jego cześć wielka rewja wojskowa — największa jaką dotychczas kiedykolwiek oglądała nasza stolica



Zajęcie obok: dostojni goście podczas rewji wojskowej zajęli miejsca w specjalnie na ten cel wzniesionym pawilonie. Od prawej: król Karol, Pan Prezydent, Wielki Wojewoda Michał, Marszałek Śmigły-Rydz. Król Karol nie szczędził wyrazów zachwytu dla wspaniałej postawy naszej armji

Wszystkie zdjęcia fot. Jan Ryś

KRÓL KAROL II, OPIEKUN NAUKI I SZTUKI

Obecny monarcha rumuński pochodzi z rodziny, której wszyscy prawie członkowie mieli wybitne zamiłowania intelektualne lub artystyczne i odznaczali się wysoką kulturą. Stryjeczny dziadek, król Karol I, słynął ze swoich upodobań naukowych, Rumunia zawdzięcza mu niejedno na tem polu. Był bezwątpienia jednym z najświatlejszych i najwykształceńszych panujących swej epoki. Żona jego znana była ogólnie pod pseudonimem literackim „Carmen Sylvia", powieści jej, nowele i poezje czytano i ceniono bardzo, pozostawała w przyjaznych stosunkach z wieloma znakomitościami literackiemi i przyjmowała je u siebie, na zamku w Sinaja.

Król Ferdynand, synowiec Karola I-go, posiadał te same przymioty, a oprócz tego interesował się botaniką. Wojna i trudne panowanie nie pozwoliły mu zajmować się ulubioną nauką systematycznie. Królowa Marja, matka króla Karola II-go pisze sama, lubi literaturę i sztukę.

Nic dziwnego zatem, że teraźniejszy władca Rumunii odznacza się gruntownem wykształceniem. Już dzieckiem będąc zgromadził ładną bibliotekę, którą ofiarował następnie żołnierzom z pułku gwardji królewskiej. Jako młody chłopiec był najszczerszym skautem, Jeździł do obozów, spał w namiotach i na ziemi, nie różnił się w niczem od swych kolegów. Nie przeszkadzało mu to uczyć się doskonale i „pożerać" książki. Będąc następcą tronu ufundował kilka instytucji naukowych, które później zostały złączone pod nazwą „Fundacji królewskich".

Działalność tych Fundacji jest nader szeroka i owocna, dość wspomnieć o dziale wydawniczym i literackim, który co rok wydaje dużą ilość książek nieraz bardzo cennych Staraniem Fundacji wychodzi również bardzo dobra „revue", t. zw. „Reviata Fundatior Regale", skupiająca wielką ilość najwybitniejszych obecnie sił naukowych i literackich rumuńskich.

Król Karol II interesuje się żywo literaturą i sztuką. Jako następca tronu słynął ze swej wszechstronnej kultury, jako wygnaniec w Paryżu namiętnie oddawał się lekturze, a na corocznych wykładach znakomitego uczonego rumuńskiego, profesora Jorgi spotykało się stale dzisiejszego władcę Rumunii. Skromnie, jak przeciętny student, zasiadał w jednej z pierwszych ławek i słuchał uważnie. Nieraz profesorowie i uczeni francuscy po skończonym wykładzie podchodzili do królewskiego słuchacza i rozmawiali z nim o kwestjach traktowanych przez prof. Jorgę lub o literaturze i kulturze rumuńskiej. Wyniosła, prawdziwie królewska, choć niemal młodzieńcza postać, oryginalnie wyglądała wtedy wśród grona starych mędrców.

Z wielką kulturą i bystrą inteligencją król Karol II łączy dar wymowy i duży urok osobisty. Nic też dziwnego, że umie jednać sobie sympatję wszędzie, gdzie styka się osobiście z ludźmi.

PARĘ ANEGDOT O NASTĘPCY TRONU, KSIĘCIU MICHALE

Książę Michał, jako maleńki chłopczyk, był niezwykle żywy i skłonny do płatania figlów. Pewnego razu, zupełnie niespodziewanie, zajeżdża przed pałac królewski straż ogniowa w wielkim pośpiechu, pytając, gdzie jest pożar. Odpowiadają jej ze zdziwieniem, że nie było ani niema pożaru. Ogólne zdumienie, wszyscy zastanawiają się, kto mógł wezwać telefonicznie straż ogniową do pałacu królewskiego. Wreszcie sam król mówi z uśmiechem: „To z pewnością mój syn!" Mały książę zresztą nie pokazuje się zaraz, wiedząc, że go szukają. Ale nakoniec król widzi syna i pyta go, dlaczego i po co alarmował straż ogniową bez potrzeby. Wcale niezmieszany, malec odpowiada:

„Chciałem się przekonać, czy straż ogniowa sprawnie działa w Bukareszcie".

* * *

Gdy książę Michał był małym królem, bardzo lubił odwiedziny dziennikarzy. Chętnie rozmawiał z nimi, raz nawet zaprosił jednego z nich, aby się z nim bawił, co było oczywiście dowodem specjalnej sympatji. Ale lubił również, aby go fotografowano. Gdy raz jeden z dziennikarzy francuskich interwiewował go, mały książę przypatrzył mu się badawczo i oznajmił po angielsku:

„Nie ma pan aparatu. Więc nie jest pan dziennikarzem!"

* * *

Po powrocie króla Karola mały książę, bardzo lubiany przez ojca, często towarzyszył mu w przejażdżkach po Bukareszcie i w podróżach. Pewnego dnia król Karol wiedziony ojcowską troskliwością, zaczął udzielać synowi wskazówek z dziedziny „savoir vivre'u", zalecając mu odpowiadać na wiwaty i okrzyki publiczności. Mały książę spojrzał z pewnym współczuciem na prawiącego mu nauki ojca i rzekł z wielką powagą:

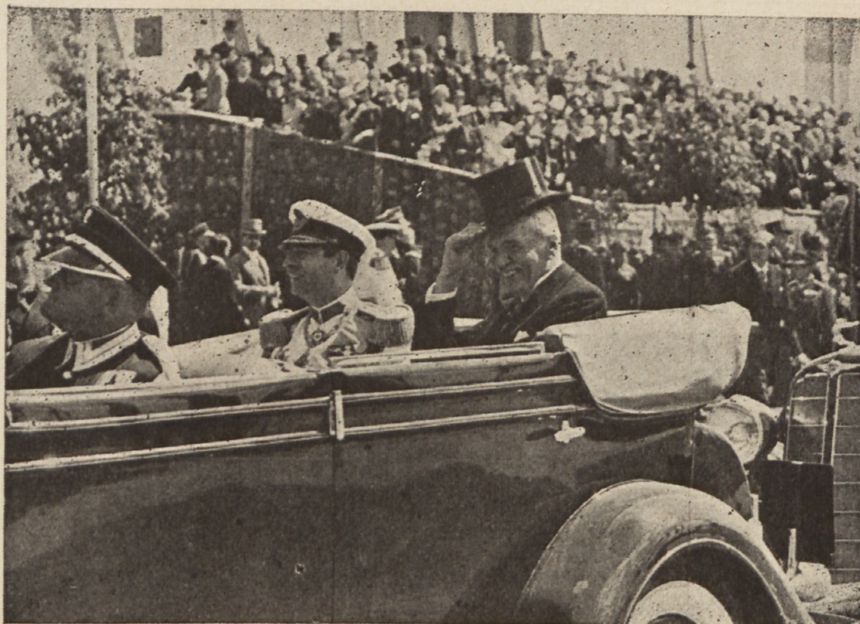
„Ależ, papo, ja sam wiem o tem doskonale. Zapominasz chyba, że byłem królem jeszcze przed tobą!"

Dr. M. Kasterska.



Wielki Wojewoda Michał, jako młodzieniec nowoczesny, żywo interesuje się techniką i własnoręcznie naprawia motor swego auta

Z WIELKIEJ REWJI WOJSKOWEJ NA CZEŚĆ KRÓLA KAROLA





Wielka rewja wojskowa na Polu Mokotowskiem była wspaniałym pokazem naszych sił zbrojnych na cześć Monarchy zaprzyjaźnionego Państwa. Zdjęcie powyżej przedstawia moment przybycia na rewję króla Karola II wraz z panem Prezydentem. Tłumy publiczności entuzjastycznie witały dostojnych gości

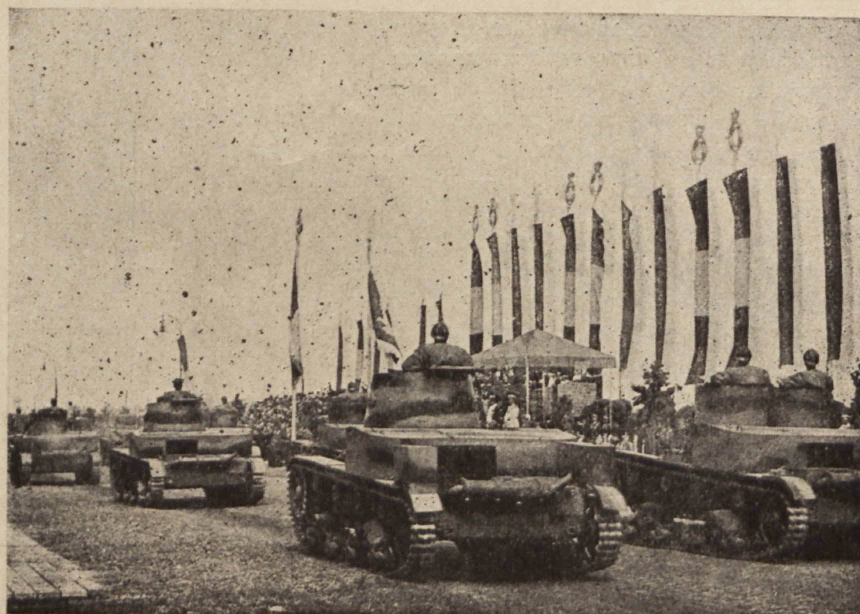
(fot. Jan Ryś)

Zdjęcie powyżej: przegląd oddziałów zmotoryzowanych był istotnie imponujący. Nieskończone zwarte szeregi sunęły, wzbudzając podziw zgromadzonych

(fot. W. Pikiel)

Zdjęcie obok daje pojęcie o defiladzie groźnych tanków, dokumentujących świetne unowocześnienie naszych sił zbrojnych

(fot. W. Pikiel)





Charakterystyczny wiejski kościołek rumuński

Z. NORBLIN CHRZANOWSKA

NARÓD ARTYSTÓW



Sypialnia królowej matki Marji na Zamku Bran — to żywe muzeum sztuki średniowiecznej.

Spotkanie moje ze sztuką rumuńską było nagłem i bezapelacyjnem olśnieniem. Stało się to na jednej z najpoważniejszych międzynarodowych wystaw sztuki, mianowicie na t. zw. Biennale delle Arti Decorative w Monzy pod Medjolanem.

Było to w roku inauguracji stałych wystaw sztuk zdobniczych w Pałacu Królewskim w Monzy—lat temu zapewne z dziesięć. Na apel Włoch stanęły wtedy wszystkie narody, mające w sztuce coś do powiedzenia. Polska miała też swoją sekcję. My, sprawozdawcy, podziwiając z ubocza wysiłki i ofiarność pracy organizatora działu polskiego na wystawie, prof. Józefa Czajkowskiego, w oczekiwaniu oficjalnego wernisażu skracaliśmy sobie czas myszkowaniem po salach innych wystawców. Co też mają do pokazania? Ktoś z włochów dobrze poinformowanych powiedział mi z przekonaniem: macie bardzo piękne i ciekawe rzeczy, ale pod bokiem, o ścianę — bardzo niebezpiecznego sąsiada.

— Cóż to za sąsiad? — spytałam.

— Rumunja.

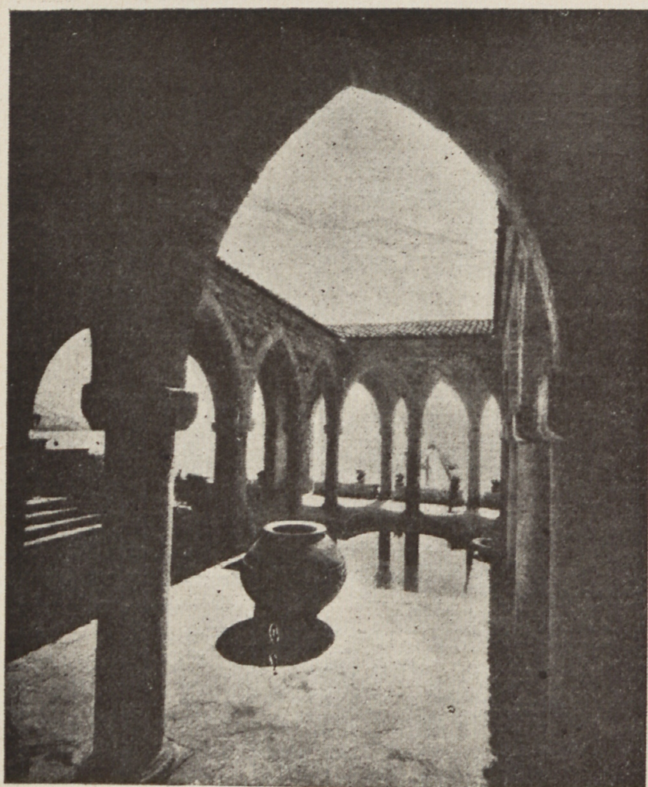
Niewiele myśląc, wybrałam się do sal rumuńskich. Już pierwszy rzut oka pozwalał wróżyć sekcyj rumuńskiej niezwykłe powodzenie podczas wystawy. I tak się stało istotnie.

Rumunja posiada bowiem wspaniałą sztukę ludową. Kiedy się mówi „sztuka ludowa"—ma się często na myśli dość zbanalizowany folklor, prymitywizm motywów i jaskrawość barw. Pojęcie niesłuszne—bo sztuka ludowa to niekoniecznie pasiaki, wełniaki, zgrzebne płótna i koślawe garnuszki. Coraz częściej wyrafinowani artyści - dekoratorzy sięgają po pomysły zdobnicze i zestawienia kolorystyczne do bogatej



Dziedziniec i krużganki zamku Bran, ofiarowanego królowej przez naród rumuński

ka znawczyni sztuki, królowa Marja, matka króla Karola II, z upodobaniem przywdziewa prześliczne suknie ludowe, podkreślające jej niezwykłą urodę. Panie z towarzystwa rumuńskiego noszą stroje ludowe za przykładem idącym z góry — i wtedy, w Monzy, podziwiałam piękno autentyczne stroju rumuńskiego „na żywym modelu" — gdyż wszystkie organizatorki sekcji sztuki rumuńskiej tak właśnie były ubrane. Trud-



Taras zamku królewskiego w Balcic



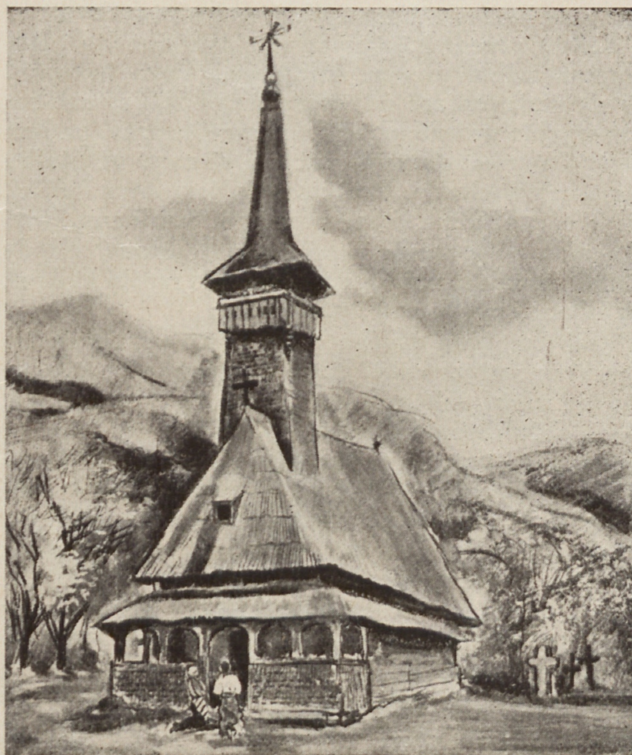
Typowy wiejski dom rumuński. Na pierwszym planie charakterystyczna kapliczka przydrożna

skarbnicy sztuki ludowej — i w każdym prawie folklorze znajdują dzieła tak dostojne, że bez żadnych adaptacji stosować je można w nowoczesnych wytwornych mieszkaniach. Żaden jednak może naród nie ma sztuki ludowej tak arystokratycznej i wykwintnej, jak rumuni.

Posiadamy np. w Polsce niezwykle dyskretną ceramikę poleską, mamy piękne koronki śląskie i kurpiowskie hafty — ale wszystko blednie, zestawione z przepychem sztuki rumuńskiej. Połączenie wschodniego bogactwa z łacińskim umiarem i harmonją — to może tej sztuki cecha najcharakterystyczniejsza. Tak jak cechą charakterystyczną narodu rumuńskiego jest serdeczna wschodnia gościnność połączona ze słoneczną pogodą i wybitnem uzdolnieniem artystycznem narodów łacińskich.

Weszłam wtedy do owych jeszcze dla publiczności zamkniętych sal rumuńskich w Monzy — i stwierdziłam, że to istotnie pod względem artystycznym sąsiad „bardzo niebezpieczny". Urzekające były zwłaszcza dywany, kilimy i hafty. Ten ostatni dział—chyba najpiękniejszy. Zrozumieć trudno, jak proste, grube ręce, przywykłe do ciężkiej pracy wiejskiej, podążyć mogą za fantazją twórczą, która im dyktuje cudownie rozczłonkowane, drobniutkie motywy, rzucone na tkaninę jedwabną pajęczej wprost cienkości. Zahaftowane rozrzutnie bufiaste strojne rękawy i marszczone przody koszul, dół spódnicy czy fartucha — to prawdziwe dzieła sztuki, technicznie niedościgłe, a pod względem kompozycji i koloru zachwycające.

Każda prowincja Rumunji posiada w tej dziedzinie własne tradycje. Każdy tam odróżni po stroju mieszkankę Mołdawji, której bufiaste rękawy zahaftowane są delikatnymi odcieniami żółtemi zielonkawemi i blado różowemi, od mieszkanki Walachji, olśniewającej złotem i czerwienią, czy mieszkanki Bukowiny, która woli połączenie błękitnego z czarnym. Bogactwo i różnorodność stroju ludu rumuńskiego jest taka, że wiel-



Stary kościół drewniany w prowincji Maramures



Młoda rumunka z Sibiu w bogato haftowanym stroju regjonalnym

no opisać zachwyty, z jakiemi się spotkała ta mądra artystyczna propaganda.

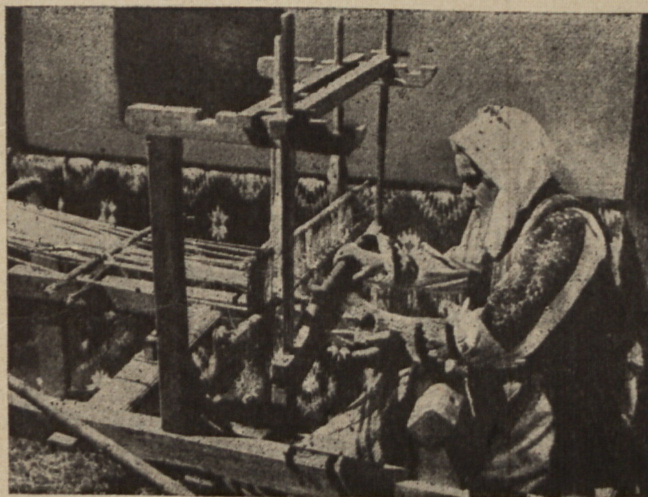
Zamiłowanie do piękna wyraża się u ludu rumuńskiego nietylko w barwnych i wykwintnych strojach. Każdy przedmiot domowego codziennego użytku rumun zdobi wręcz nałogowo. Jest to naród który nie umie patrzeć na rzeczy brzydkie. Pastuch kozikiem wycina urocze motywy na swej fujarce, na łyżce, której używa do swej ubogiej strawy, na stołku drewnianym w chacie. Rzeźbione są tam ławy i półki, i skrzynie, rzeźbione belki u pułapu, rzeźbione świeczniki, misy — a nawet wiosła przy łodziach! Młody wieśniak jednak z największą lubością rzeźbi kądziel, którą ofiaruje wybrance swego serca.

Mężczyźni poza rzeźbą i snycerstwem uprawiają garncarstwo artystyczne, zdobiąc motywami geometrycznemi misy, dzbany i garnki. Motywy te zresztą, czy to będzie ceramika, haft, snycerstwo czy malarstwo ścienne — przekazywane są z pokolenia na pokolenie w nieskażonej czystości i na szczęście żadna obca naleciałość miejska nie zeszpeciła jeszcze ich stylu. Styl ten stanowi, nawiasem mówiąc, niezmiernie interesujący stop elementów bizantyjskich i łacińskich — stop tak już spatynowany przez wieki, że nazwać go można zupełnie odrębnym stylem rumuńskim, do żadnego innego nie podobnym.

Wprawdzie powiedzieć można, że bogate freski w świątyniach rumuńskich, freski pokrywające niejednokrotnie całe ściany kościołów z wewnątrz i z zewnątrz — zdradzają stylizacją postaci blizkie pokrewieństwo ze sztuką starego Bizancjum w jego formie czystej, jaką dziś podziwiać jeszcze można tylko w kościołach Rawenny. Jednak takiej rozrzutności twórczej nie znamy nawet w słynnym San Vitale w Rawennie. Rumuński kościół należący do klasztoru w Sucewicy — cały pokryty zzewnątrz freskami z XV wieku — jest chyba unikatem w swoim rodzaju. Bardzo stromy dach z silnie wystającym okapem, chroni bezcenne malowidła przed niepogodą, tak że do dnia dzisiejszego zachowały one całą świeżość koloru i wyrazistość swej naiwnej, rytmicznej kompozycji — odtwarzającej szeregi świętych w barwnych szatach na złocistem tle.

Również malowane są kościoły klasztorne w Woroniecu, Putnie, Suceava, i innych. Styl architektury kościelnej w Rumunji ma dwa odrębne wyrazy — jeden, to skromne wiejskie kościołki drewniane, strzelistą igłą wieżycy mierzące wysoko w chmury, i spadzistością dachu przypominające ducha gotyku; drugi — to bogate miejskie kościoły murowane, przeważnie kopulaste, tchnące bizantynizmem autentycznym, jak np. świątynia koronacyjna w Alba Julja, bogaty kościół biskupstwa w Curtea, budapeszteńskie kościoły Vacaresti i Coltei.

Naród rumuński nie może żyć bez sztuki. Tworzy ją codzień, cieszy się nią codzień. Mając wiele czasu, jak wszystkie narody rolnicze, rumuni uprawiają rzemiosło artystyczne z doskonałością, przekazywaną z ojca na syna. Na szczęście „górne sfery" żadnym snobizmem nie niwelują tych zamiłowań ludu. Przeciwnie. Król Karol i królowa Marja są szczerymi protektorami wszelkich przejawów twórczości artystycznej swego kraju. Kiedy naród ofiarował królowej matce Marji stary zamek w Bran, średniowieczne gniazdo rycerzy — królowa zgromadziła w tej swojej siedzibie najcenniejsze okazy starej sztuki rumuńskiej, przywracając zamczysku jego dawny charakter z przed wieków. Nietylko krużganki, dziedzińce, tarasy, sale recepcyjne otrzymały urządzenie i dekorację średniowieczną. Nawet sypialnia królowej wygląda jak kilkaset lat temu: bielone ściany, pułap wsparty na grubych malowanych belkach, ciężkie rzeźbione łoże zasłane wzorzystą haftowaną makatą, masywne rzeźbione skrzynie, ikony na złotem tle, a w starych ludowych dzbanach pęki polnych kwiatów. Tak mieszka królowa Marja, w zamku, który stał się żywem muzeum pięknej sztuki Rumunji, kraju artystów.



Kobieta rumuńska przy starym tkackim warsztacie, na którym powstają wspaniałe misternie tkane kilimy i dywany

INŻ. K. JACKOWSKI

NA MARGINESIE WYSTAWY PARYSKIEJ

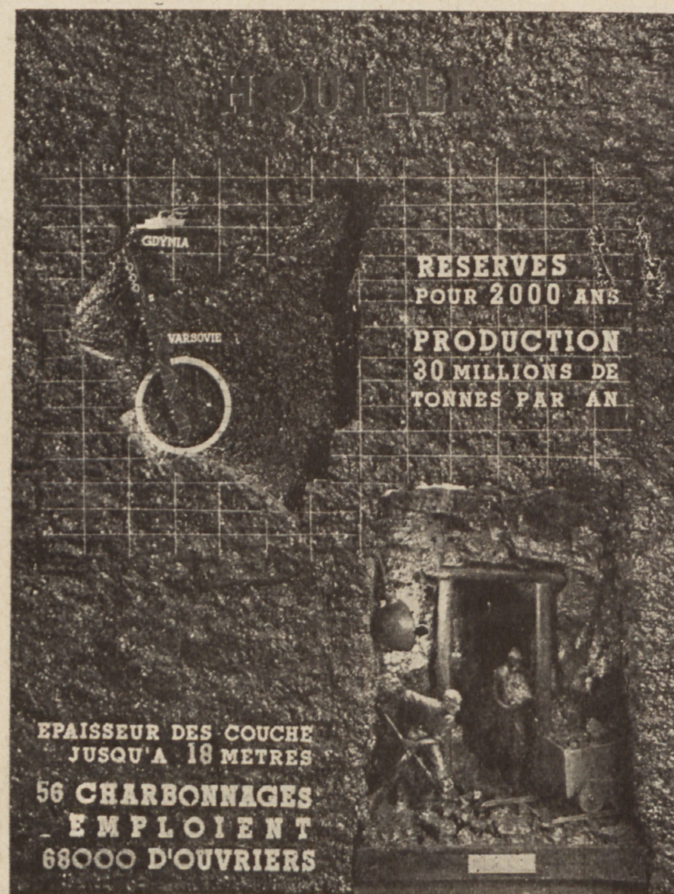
II

Gdy zwiedzamy w okresie trwania Wystaw Międzynarodowych bardziej znane muzea w stolicach europejskich, nie wyłącznie sztuki, ale techniki i t. p., zastanawia nas, że świecą nieraz pustką najciekawsze stoiska albowiem, jak się okazuje— taki lub inny wartościowy eksponat, czy dokument jest chwilowo „nieobecny" z powodu wysłania na Wystawę Międzynarodową. Rzuca to charakterystyczne światło na sposoby organizowania pawilonów na tych Wystawach przez kraje stojące na wysokim poziomie kultury. Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że kraje te, dbając bezustannie o swe rodzime muzealnictwo we wszelkich jego odmianach, mogą w okresie „zawodów międzynarodowych" powoływać swe muzea do twórczej współpracy, albowiem właśnie te placówki bezspornie najbardziej są powołane do dostarczania eksponatów, mających reprezentować kulturę danego kraju w najszerszym tego słowa znaczeniu. Przy tej metodzie osiąga się poza tym pewną ciągłość pracy, tak niezbędną przy organizowaniu publicznych pokazów nie wyłączając terenów międzynarodowych.

Wyspecjalizowana w pewnym kierunku *komórka organizacyjna* — to naprawdę ważka rzecz we wszelkich przejawach życia publicznego. Brak takich komórek zmusza do improwizowania, a każdy pracownik — fachowiec wie dobrze ile kosztuje wszelka dorywczość, nie tylko ze względu na wydatki pieniężne, lecz przedewszystkiem na ilość zmarnowanych godzin pracy, poświęconych różnym konferencjom „uzgadnianiom", z których dopiero wyłaniają się zaczątki takiej, lub innej koncepcji.

Kraje wyróżniające się *poczuciem rzeczywistości*, już oddawna rozwiązały to zagadnienie w sposób bardzo praktyczny. Gdy zwiedzamy obecną Wystawę Paryską, zatrzymuje nas dłużej pięknie zaprojektowany i wykwintnie urządzony pawilon „Comité français de Expositions". Wewnątrz znajdujemy między innymi szereg b. pociągających dioram, które pokazują jak wyglądały pawilony francuskie na różnych wystawach europejskich i zamorskich w okresie ostatnich paru dziesiątków lat, Eureka: jesteśmy w domu! To jest sedno zagadnienia. Okazuje się, że Francja już *przed 52 laty* powołała do życia zupełnie samoistną komórkę organizacyjną, która w tym okresie czasu zdążyła urządzić już ponad 100 pokazów (pawilonów), przeważnie pod protektoratem Państwa. Przeglądając statut, okazuje się, że omawiana jednostka prawna jest instytucją użyteczności publicznej, posiada kilka tysięcy członków z grona świata artystycznego, naukowego, gospodarczego, przemysłowego i t. d.

Byli Ministrowie Przemysłu i Handlu są z urzędu, w razie przyjęcia, prezesami honorowymi Komitetu. Dla organizowania poszczególnych wystaw Rada powołuje Komisje specjalne, składające się wyłącznie z jej członków. Komisje nawiązują jaknajbliższy kontakt z Komisarzem Generalnym Rządu Francuskiego, ewent. inicjatorem takiej czy innnej wystawy. W 12 miesięcy po zamknięciu wystawy, Komisje przedstawiają bilans, przyczem nadwyżka idzie na poczet organizacji przyszłych wystaw. Podczas obecnej Wystawy, ze względu na jej charakter międzynarodowy, Rząd francuski jako gospodarz przejął całą odpowiedzialność na siebie, tem nie mniej wielka ilość członków tej organizacji została powołana do współpracy. Pawilon, o którym mowa, został postawiony jako symbol działalności tej doniosłej instytucji, przy czym jego organizacja została powierzona Prezydium, w skład którego wszedł między innymi Kustosz Muzeów Państwowych, Dyrektor Szkoły Sztuki Stosowanej i t. d. Czy nie jest to przykład godny naśladowania? Kto przypatrywał się organizacji naszych wystaw krajowych i zagranicznych, ofiarnej pracy *coraz nowych zespołów ludzi*, przeważnie niczym nie związanych ze sobą, a przede wszystkiem nie mających tradycji, ten naprawdę z zazdrością myśli, że inni jakoś umieją znajdować racjonalne wyjście z najtrudniejszych sytuacji. Czyżby wstyd nam było wchodzić w ich ślady?



Wystawiona przez Muz. Przem. i Techn. tablica skomponowana z kawałków węgla zawierająca dane o węglu w Polsce

Poruszona sprawa jest tak doniosła, że należałoby gorąco pragnąć, aby nasze Ministerstwo Przemysłu i Handlu, jako najwyższy organ nadzorczy nad wszystkiemi Wystawami uznało za możliwe zasadniczo rozważać tę sprawę.

PAWILON POLSKI.

Opisując dwa lata temu wrażenia z Wystawy Międzynarodowej w Brukseli *), niżej podpisany podkreślił w swych wywodach niezmiernie doniosłą rolę „dioram" trójwymiarowych przy urządzaniu różnorodnych wystaw.

Równocześnie było zaznaczone, że niestety, pawilon Polski w Brukseli nie zawierał ani jednej dioramy. Z obawy, aby przy organizowaniu tegorocznego pawilonu nie powtórzyło się to samo zjawisko, Muzeum Techniki i Przemysłu z własnej inicjatywy zgłosiło gotowość samodzielnego opracowania całego działu przemysłowo - technicznego, z jaknajwiększem uwzględnieniem dioram przy równoczesnem wystawieniu innych cennych dokumentacji.

Otrzymawszy niestety do dyspozycji zaledwie 14 mtr. bież. Muzeum T. i P. zdołało uwzględnić w swej ekspozycji zaledwie kilka wybranych zagadnień przeważnie w odniesieniu do polskiego przemysłu surowcowego.

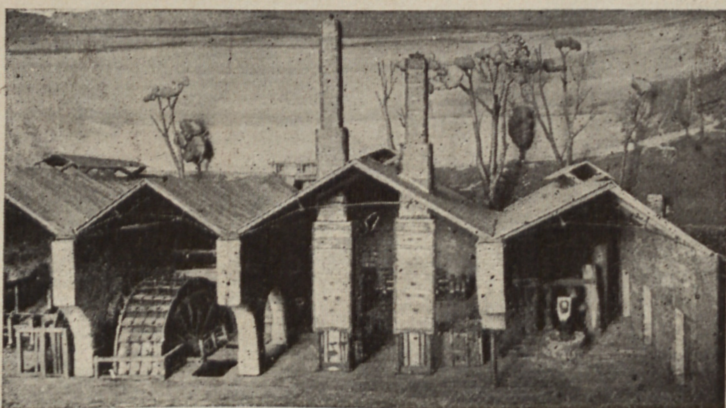
Pozostawiając opis działów ilustrujących kulturę artystyczną naszego kraju i t. p., osobom bardziej kompetentnym, zatrzymamy się dłużej przy tej części pawilonu polskiego, która miała za zadanie zadokumentować polską kulturę techniczną.

Dyrekcja Muzeum, podejmując tę inicjatywę, postawiła sobie za cel: pogłębić treść ogólnego pokazu i skorzystać z hasła rzuconego przez Komitet Wystawy Paryskiej „Sztuka i technika we współczesnym życiu narodów", aby przedstawić pewne studium obrazujące nowoczesne metody ilustrowania zagadnień, związanych z popularyzacją techniki, przez uwzględnienie w możliwie największym stopniu zasad sztuki stosowanej.

W omawianym dziale zostały uwzględnione następujące tezy: 1) wszelki publiczny pokaz winien w zasadzie dążyć zawsze do możliwego ograniczenia rozmiarów zajmowanego miejsca; 2) na pierwszym planie muzeologia techniczna musi stawiać dydaktykę — by całość zagadnienia była zrozumiała dla najszerszego ogółu zwiedzających; 3) zawsze należy dążyć do uwzględnienia w takich pokazach podejścia historycznego, a w końcu, że trzeba zawsze przestrzegać, by całość pokazu była wartościowa pod względem wizualnym i dawała widzowi możliwie jaknajwiększe zadowolenie estetyczne.

Przy wyborze tematów Muzeum powzięło ideę wykazania, że Polska miała swój poważny udział w dorobku cywilizacji w wiekach ubiegłych i na jednym konkretnym przykładzie podkreślić, że działalność ta rozwija się nadal, już po wojnie światowej.

Ze względu na bardzo ograniczone miejsce, Muzeum zdołało zatrzymać się głównie na dwóch polskich przemysłach surowcowych, posiadających swą dalszą historię, t. j. żelazie i nafcie, oraz na jednym z przemysłów całkowicie nowoczesnych, jakim jest produkcja syntetycznych związków azotowych. Dodatkowo w jeszcze większym skrócie został dany rzut oka na polski przemysł węglowy i solny.



Jedna z dioram z „Sielpi Wielkiej", charakteryzująca dbałość o zabytki polskiej sztuki inżynierskiej. Pierwsza turbina wodna zbudowana w polsce przez Filipa Gérarda.

W celu uplastycznienia ilustracji poszczególnych grup Muzeum starało się łączyć tablice plastyczne, dające syntezę z dioramami przy uwzględnieniu minimalnej ilości eksponatów, aby nie rozpraszać uwagi widzów.

Przechodząc do szczegółów, należy zaznaczyć, że grupa I. „Z historii przemysłu żelaznego w Polsce" objęła: a) dioramę zabytkowej walcowni w Sielpi Wielkiej z początku XIX w. z podkreśleniem, że w tym miejscu była zbudowana, przez znakomitego konstruktora francuskiego F. Gérarda, przygarniętego w tym czasie przez Rząd Polski, jego pierwsza turbina wodna, a poza tym b) wielką świetlną mapę plastyczną całego Zagłębia Staropolskiego z wskazaniem miejsc pierwszych w Polsce dymarek i młotów wodnych, pierwszego wielkiego pieca na węgiel drzewny i pierwszej odlewni dział (ok. 1600 roku). O wpływie hutnictwa żelaza na umysłowość narodu polskiego pozwala wnioskować drukowany w r. 1602 poemat W. Roździeńskiego „O rudach, hutach i kuźnicach", którego odbitka fotograficzna została wkomponowana do omawianej tablicy.

Grupa II. „Z historii przemysłu naftowego w Polsce" obejmuje dioramę Zagłębia naftowego Borysławskiego, oraz tablicę plastyczną, przedstawiającą rozwój stosowania ropy naftowej w ujęciu historycznym z podkreśleniem zasług Ignacego Łukasiewicza, który pierwszy w r. 1852 przedystylował beczkę ropy naftowej i zastosował naftę do oświetlenia. Dolną część tablicy obejmuje świetlny przekrój geologiczny Zagłębia Borysławskiego z wykazaniem głębokości wiercenia szybów i t. d.

Grupa III. „Z przemysłu związków azotowych syntetycznych" — obejmuje a) dioramę Mościc z wykazaniem sposobem dydaktycznym całego procesu wytwórczego; b) prześwietloną tablicę poglądową, z przedstawieniem na tle prac szeregu innych uczonych, oryginalnych prac naukowych i międzynarodowych zasług w tej dziedzinie p. Prezydenta Rzplitej Polskiej Prof. I. Mościckiego.

Tablica IV. „Z przemysłu węglowego" — mapę Polski skomponowaną z kawałków węgla z zaznaczeniem, że Polska eksploatuje 68 kopalń, a zasobność pokładów wynosi ok. 2.000 lat. W dolnej części tablicy znajduje się postać górnika podczas pracy, wyrzeźbiona w węglu.

Tablica V. „Z przemysłu solnego w Polsce" — obejmuje mapę skomponowaną z kryształów soli, z zaznaczeniem bogactw Wieliczki, podaniem jej przekroju i t. p. Jako eksponaty zostały uwzględnione: cenna drabinka z samorodnymi kryształami soli, podświetlona lampą rtęciową, oraz model tężni ciechocińskich rzadkich tego rodzaju zabytków europejskich.

Liczne napisy w języku francuskim, jasne i dostępne dla wszystkich, mają za zadanie pogłębienie wartości całego stoiska, zorganizowanego przez Muzeum z umiłowaniem i w pełni poczucia odpowiedzialności, szczególnie ze względu na międzynarodowy charakter pokazu.

*) K. Jackowski. „Dydaktyka na Wystawie Międzynarodowej w Brukseli i jej znaczenie dla muzeologii technicznej". Pamiętnik Muzealny: 1937.

JADWIGA RAPACKA

LATO NA MAJORCE

Moi francuscy znajomi, słysząc, że jadę na Majorkę, wzruszali ramionami. Co to jest i gdzie to jest? A bardziej uświadomieni robili miny wątpliwe.

— Hm! będzie pani mogła za bezcen kupić tam obuwie... Ale pozatem — dziki kraj... Zupełny brak komfortu, a brud, a insekty! Proszę nie zapominać, że to Hiszpanja.

Trochę mnie to zaniepokoiło. Taki południowy kraj. Na wszelki wypadek wzięłam ze sobą Flit.

Na Majorce nie trzeba jednak sądzić z pozorów. Palma — nazewnątrz wydaje się istotnie niechlujna. Obdrapane, nieodnawiane chyba od czasów Jaime El Conquistador domy, bruki w kocie łby, zamiast drzwi ziejące ciemnością otwory w murach, pozamykane dniem i nocą okienice, no — i kurz!

Ale zato wewnątrz— zupełnie co innego! Wszystko lśni czystością. Kamienne posadzki — wciąż szorowane, niepokalane, wybielone wapnem ściany, bielizna zmieniana pod każdym pretekstem i — jak dzień długi — bezustanne szorowanie i pranie.

Po wsiach, gdy chodzi o pranie, nikt nie uszanuje nawet niedzieli. Bielizna schnie w powórku, zarzucona na kaktusy. W każdej kuchni znajduje się studnia. Nie! to nie omyłka — W KUCHNI! Jest o wiele poręczniej, ale nie wiem, czy zdrowo, bo ze studni przecież wydziela się wilgoć. Na Majorce jednak każdy broni się tylko przed słońcem, nikt przed wilgocią. Gdy deszcz zacznie padać, na ulicy nie dopatrzy się ani jednego ochronnego daszka. Wszystko i wszyscy — pragną moknąć.

Owa studnia musi być również zasilana przez deszcz. W tym celu na dach prowadzi specjalna rura. Można sobie wyobrazić, co się dzieje w kuchni, gdy woda z szumem, pluskiem i hałasem pędzi przez rynnę w głąb studni!

Przy niektórych studniach urządzają także prysznic. Taki prysznic jest własnością ogólną. Kto ma znajomych z prysznicem, ten idzie do nich zaopatrzony w ręcznik i oznajmia bez ceremonji: — Przyszedłem na prysznic! Nikt się nie dziwi.

Mieszkańcy są bardzo schludni, dzieci — od których poprostu się roi — nigdy niezamorusane, zawsze czyściutko odziane. W sklepach, które od zewnątrz wyglądają jak jaskinie — idealny porządek. Wycieranie mokrą ścierką i chlustanie wodą z wiaderka jest machinalnym gestem każdego majorkińczyka. Gdzie się tylko ruszyć — kałuże, choć niebo bezczelnie błękitne i słońce pali. Biedacy, jak mogą tak stwarzają sobie wilgoć. Wciąż wyciągają wiaderka ze studni i zlewają podłogę, tarasy, bruki. Na wsi coraz to ktoś wychodzi z domu z konewką i polewa piasek na drodze. Kto ma mniej cierpliwości — chlusta cebrzykiem.

I — jak na ironję — na tej namiętnie miłującej wodę wyspie — nie ma ani jednej rzeki. Nie znajdzie jej ani na mapie, ani wędrując po kraju. Zaledwie kilka górskich strumieni. Latem gdy panuje wielka susza, wodę trzeba sprowadzać z dalekich stron, a, co więcej, drogo za nią płacić. Dyrektor hotelu w Cala Ratjada zapewniał mnie, że w tym sezonie woda do picia i mycia kosztowała go, ni mniej, ni więcej, tylko sto pesetas dziennie. Jak to zabawnie — tyle płacić za wodę — nad brzegiem morza!



...na wszelki wypadek wzięłam ze sobą Flit..

* * *

Dla wiadomości ewentualnych turystów komunikuję, że insekty są oszczerstwem. Muchy i komary — owszem! ale gdzie ich w lecie niema?

Co się tyczy hoteli, to w Palmie jest kilka stosunkowo drogich, luksusowych, nad morzem. W centrum kilkanaście tańszych z nowoczesnym komfortem. W miejscowościach górskich lub kąpielowych niewszędzie bywa woda bieżąca, a elektryczność gaśnie o jedenastej. Umeblowanie obejmuje tylko najniezbędniejsze sprzęty. Najniezbędniejsze oczywiście w pojęciu majorkińczyka, to znaczy, że w każdym pokoju znajduje się **zawsze** fotel bujający, ale rzadko komoda. Nikt nie marzy o poduszce napchanej pierzem — gęsi nie znają w tym kraju. Pierze zastępuje wełna, która niechętnie ugina się pod ciężarem strudzonej głowy...

Czysto i schludnie jest zato wszędzie. Jedzenia zatrzęsienie, ale z jakością gorzej. Niedość, że to jedzenie jest ciężkie, niedość, że tłuste, niedość, że pieprznie, niedość, że na oliwie. Ale jeszcze skład potraw jest taki, jakgdyby je wymyśliły dzieci, którym zachciało się bawić w obiad. Nasypiemy i nakładziemy do rondelka wszystkiego potrosze i zobaczymy, co z tego wyjdzie. I wychodzi PAELLA VALENTIANA albo HUEVOS A LA FLAMENCA. Hiszpański kucharz nie cofnie się przed niczem, do szpinaku np. pakuje rodzenki. Ciastko z serem wspaniałomyślnie nadziewa jabłkami. Do ryby dołącza się smażone jabłko. Oczywiście wszystko to jest jedzenie, ale żołądek przyzwyczajony do pewnej selekcji wzdryga się i buntuje. Każdego dnia, w każdej miejscowości, na każdem menu znajdzie się nieomylnie wieprzowina



... coraz ktoś wychodzi z konewką i podlewa piasek przy drodze ...

i potrawa z ryżu; ale ponieważ nigdy nie nazywają się jednakowo, więc można się łudzić, że się codzień je co innego. Aby dać pojęcie naszym gospodyniom o tamtejszej kuchni podaję przepis typowej potrawy PAELA VALENTIANA.

Pół filiżanki oliwy wlać na patelnię. Gdy się zagrzeje włożyć cztery pigmenty, trzy pomidory i główkę czosnku — wszystko pokrajane. Smażyć pięć minut. Dodać pokrajaną wieprzowinę, kiełbasę, kawałki kury. Gdy się zrumieni — nasypać pieprzu, soli, szczypiorku i szafranu. Znowu smażyć pięć minut. Dodać gotowane karczochy, groszek i fasolę. Dobrze wymieszać i zalać filiżanką rosołu. Zagotować. O ile zbyt gęste — rozcieńczyć rosołem. Dodać filiżankę gotowanego ryżu, który ma być przedtem smażony w oliwie, tak długo, dopóki się nie stanie brunatny. Trzymać na wolnym ogniu. Niestrawność pewna.

* * *

Pejzaż jest romantyczny, przypomina staroświeckie drzeworyty. Ruiny zamków na wzgórzach, zgarbione sosny, sterczące na urwiskach, fale bijące o skały, śniące w dolinach białe miasteczka. Teren jest falisty, więc perspektywa zmienia się co chwila. Drogi w niektórych okolicach pną się i spadają, zakreślając zygzaki.

Wędrując dalej, stwierdzam, że kurz na obuwiu jest czerwony. Taki tu jest przeważnie kolor skał i ziemi. Zmienił się pejzaż, zniknęły ścierniska, z obu stron drogi, w nizinach — urocza zieloność. Kurydzowe pólka, krzewy pomidorowe, fasola. Także winnice, także plantacje bambusowej trzciny. Gdzieniegdzie banan o postrzępionych liściach. I znowu okrągłe wzniesienia, a na tych wzniesieniach... mój Boże! ja doprawdy nie wiem, ale to przywodzi na myśl opuszczone narzędzia tortur!

Proszę posłuchać: naprzód niski murek w półkole. Pośrodku murka — pal, poprzez pal przewleczono gruby konar, a na końcu konara dyndają dwie złowrogie pętle. Do dolnej części pala przymocowano poziomo wielkie koło, tem kołem znowu zazębione wielkie koło pionowo. Nie koniec na tem — koło pionowe jest całe obłożone — glinianemi doniczkami. Odważnie schodzę z drogi i zbliżam się. Odkrywam, że koło z doniczkami wisi nad studnią. A do dolnej części koła jest przymocowana drabina, również przybrana z obu stron doniczkami. Co to być może?

O zachodzie słońca otrzymałam odpowiedź. Z szopy pokrytej choiną wyprowadzono osiołka. Szedł smutnie, bo miał ślepia zakryte krążkami ze słomy. Zaprzężono osiołka do pętlic, dyndających złowrogo z końca konara...

I stało się wtedy jak w rosyjskiej bajce o dziadku, babce i rzepce. Dziadek za babkę, babka za wnuczkę, wnuczka za suczkę i t. d. Osiołek ruszył z miejsca i pociągnął za sobą konar. Konar poruszył pal, pal wprawił w ruch poziome koło. Koło poziome zakręciło pionowem, a pionowe wepchnęło drabinę do studni. Doniczki napełniły się wodą, woda spłynęła z doniczek do korytka, z korytka rozlała się w pracowicie wyżłobione kanaliki — i pola groszkowe, pomidorowe i kukurydzowe otrzymały w ten sposób swą wieczorną porcję wody. Jak mówi w jednej ze swych piosenek Maurice Chevalier: C'est très simple, mais... il fallait le trouver! A nazywa się to z arabska NORIA.

Pozatem równina jest usiana (zawsze na podmurówkach) małemi basztami, jak przy średniowiecznych zamkach. A na szczytach baszt wznoszą się wielkie koła, pomalowane — aby było weselej — w pstre kolory. W każde zaś koło jest wbita kolosalna strzała. Gdy wiatr wieje — koła wirują. A więc to są wiatraki? Owszem, ale nie do mielenia mąki, lecz do pompowania wody z głębin ziemi.

Wspomniałam trzykrotnie o podmurówkach, majorkińczycy mają pasję do budowania. I tyle jest kamieni... Ale gdy już ktoś posiada domek i młynek i noria — co mu zostaje do budowania? Ano murki! Jakto murki? A tak, ma ktoś dwie morgi gruntu, to je odgradza — bez żadnej potrzeby — murkiem od gruntu sąsiada. Na tych dwuch morgach posadził jarzyny, posiał zboże; każde pólko, każdą grządkę — odgradza murkiem.

Niedosyć na tem — idę do lasu. Lasy na Majorce są wyłącznie sosnowe, ale na każdym kroku spotkać można agawy, karłowate palmy, figowce i pełzające żółwie. A pozatem ciągle murki... Tak! znowu murki. Co i od czego odgradzają — niewiadomo. Ciągną się na przestrzeni kilkunastu metrów i nagle urywają...

* * *

Wsie i miasteczka mają napoły afrykański charakter, budowano je pod hasłem walki ze słońcem. Po maurach, którzy ognistą gwiazdę zowią „nieprzyjacielem" przejęli majorkińczycy hodowlę cienia.

Uliczki są wąziutkie, domy wznoszą się niezmiernie blisko, a jednak nikt nikomu nie może zajrzeć do mieszkania. Okna są stale zamknięte, dniem i nocą, i to nietylko okna, ale i zewnętrzne i wewnętrzne okiennice. W niektórych domach nie zrobiono okien zgoła, zaznaczono tylko ich miejsca malowanym kwadratem. Bo poco? skoro się ich nigdy nie otwiera. Wnętrza domów, sklepów, warsztatów — zieją ciemnością. Jedyne otwory — to dwoje drzwi



...jedzenia zatrzęsienie, ale z jakością gorzej...

na przestrzał, z obu stron bawialnego pokoju. A pokój ten, u biedaka, czy bogacza jest zawsze jednakowy. Dwanaście krzeseł: sześć wzdłuż lewej i sześć wzdłuż prawej ściany. Zawsze pod ścianą, niech Bóg broni wysuwać je na środek! Gdy przyjdą goście — siadają rzędem pod ścianą, jak w poczekalni lekarza, domowi z drugiej strony i tak rozmawiają ze sobą przez całą szerokość pokoju.

Domy są wybielone wapnem, oślepiająco białe, dach płaski, kryty karbowaną dachówką. I jedno i drugie pozostało w spadku po maurach. Gdy pośród tych domów wyrwie się sylwetka palmy — zdawałoby się afrykańskie miasto. W podwórkach bujają kaktusy i agawy, niczem u nas chwasty i pokrzywy. Z małego zakamarka wznosi się dym — to palą na nawóz plewy. Bielizna dynda na sznurach, w szopie muł ogania się muchom; na daszku szopy, w dzieżach suszą się migdały.

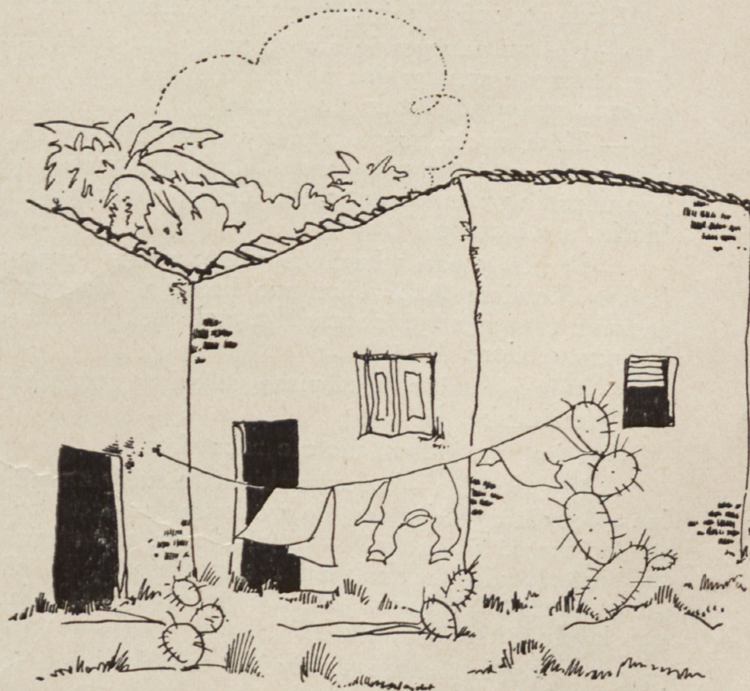
Wokół miasteczka wzgórza, na wzgórzach lasy i opuszczone młyny. Gdzieindziej zębate blanki starożytnego zamku maurów. Uliczki zowią się tak poetycznie: Ulica Samotności, Ulica Wiatru, Ulica Brzasku... Na PLAZA de la FUENTE dąży kobiecina z glinianą amforą. Idzie pompować wodę z publicznej studni. Mija ją zakonnica, okutana w czarne woale, na maleńkim osiołku jedzie naoklep ciemnoskóry wyrostek.

Przed drzwiami domów siedzą czarno ubrane kobiety, przedwcześnie zestarzałe, pogodne, zrezygnowane. Na plecach wisi im długi, cienki warkoczyk. Skończyły z pracą w domu i plotą koszyki. Koszyk na Majorce ma wielkie zastosowanie, bowiem służy do wszelkiego użytku. Każdy w mieście, czy na wsi chadza z koszykiem. Wożą w nim cement, ziemię, węgle, zamiatają doń śmieci. Wszystko, co w innych krajach jest pudełkiem, szufladą, paczką, torebką — na Majorce zastąpiono koszykiem.

W niektórych okolicach wiszą przed drzwiami domów gałązki mirtu lub lauru, a najczęściej jedno i drugie. Są to pamiątki chrzcin. Po chrzcinach dziewczynki rozdaje się rodzicom i kumom mirt, po chrzcinach chłopca — gałązkę lauru. Kto chce wiedzieć, ile jest u kogo dzieci i jakiej płci — nie potrzebuje pytać — wystarczy spojrzeć na drzwi.

Życie wieśniaków jest żmudne, monotonne. Znój i praca. Jedyne uśmiechy życia — to FIESTA. Jest ich wiele, aż za wiele, któryś z papieży stracił cierpliwość i połowę świąt hiszpańskich skasował. Któż bowiem w katolickim świecie świętuje Rocha albo Bartłomieja i to jeszcze przez TRZY DNI! Miasteczka przystrajają się wtedy w festony z kolorowych bibułek. Ciemne, ponure uliczki stają się nagle barwne, ożywione. Ze wszystkich domów wybiegają dziewczyny, pracowicie zamiatają chodniki. Każda umyła głowę, włos ułożyła w wymyślne grajcarki. Wszyscy młodzieńcy wylegli na ulicę, mają białe koszule, ciemne twarze, brwi złowrogie. Ktoś pędzi muła, ciągnącego wózek, pełen zieleni. Kto żyw rozrzuca po ziemi gałązki sosny, mirt, tataraki. Zapachniało lasem, zapachniało łąką... Przekupnie rozstawili swoje kramy, chwalą smażone kartofle, orzechy, nugaty. Dzieci szaleją na karuzeli, dorośli probują szczęścia w strzelnicy. Na PLAZA DEL ORIENTE wzniesiono trzy sosnowe ściany; w środku estrada, obwieszona festonami. Wieczorem będzie wygrywać na niej orkiestra, a młode pary puszczą się w tany. Taki dancing zowie się VERBENA. Będą też fajerwerki. Gdy kelner Jaime w Cala Ratjada mówił mi o takiej FIESTA — widać było, że duszą całą znajduje się w swem rodzinnem miasteczku Capdepera. Ognie sztuczne, wyścigi cyklistów, magistracka muzyka, verbena! Biedny Jaime! gdy na drugi dzień zapytałam, czy był na Fiesta — rozłożył ręce gestem rozpaczy. Nie miał czasu — zmywał do północy! Mimo swych lat czterdziestu — wyglądał, jak pokrzywdzone dziecko.

(d. c. n.)



...bielizna dynda na sznurach...

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

WYWIAD Z LAUREATEM

(Humoreska)

Z polecenia redakcji udałem się do tegorocznego laureata nagrody Miłośników i Hodowców Grzyba Domowego, pana Aspirydiona Świecy, by uzyskać wywiad.

Po długich poszukiwaniach listami gończymi znalazłem wreszcie laureata w jego mieszkanku przy ulicy Bugaj. Siedział właśnie przy stole i jadł zupę kartoflaną, kiedy wszedłem i zapytałem czy zechce udzielić mi odpowiedzi na kilka pytań. Przystał na to chętnie.

Siedzę więc naprzeciw Świecy i najpierw długo patrzę w jego myślące i głębokie jak studnia oczy, poczem pytam:

— Jak panu smakuje zupa?

— Niezła jest, odpowiada pisarz zwolna, po długim wysiłku myślowym, od którego pot występuje mu na czoło. — Nie jest zła, powtarza i zasępia się nagle.

Czuję, że dotknąłem drażliwej struny jego duszy. Przeskakuję więc do tematów aktualnych.

— Jak pan zareagował na przyznanie mu nagrody Miłośników i Hodowców Grzyba Domowego?

Aspirydion Świeca ociera usta chusteczką do nosa, odstawia pusty talerz:

— Muszę się panu przyznać, powiada ożywiony, że nagroda była dla mnie niespodzianką. Już od dłuższego czasu żyję na kredyt, za obiady i mieszkanie zalegam z pieniędzmi od trzech miesięcy. Ucieszyłem się więc bardzo, kiedy powiedziano mi o tych trzystu złotych, które mam dostać.

— Trzysta złotych, mówię z podziwem, alež to zapewni panu na dłuższy czas niezależność materjalną i pozwoli oddać się całkowicie pisarstwu.

—Tak by się zdawało, ale... i tu potrząsa ze smutkiem jasną głową.

Czuję, że znów potrąciłem niewłaściwą strunę.

— Cóż mi pan powie o swej pracy literackiej, pytam, łakomie spoglądając na kartoflane kluski, które służąca wniosła właśnie do pokoju.

— Mam swoisty system pracy, mówi Świeca, rano poram się z tworzywem, w południe spożywam, jak pan właśnie widzi, dodaje z uśmiechem, wskazując na kluski, a wieczorem trawię.

— A kiedy pan właściwie pisze, pytam zaniepokojony, bowiem Aspirydion nie krępując się wcale, zaczyna sam zajadać, chociaż na stole jest jeszcze jakiś pusty talerz.

— Właśnie wieczorem piszę, mówi w zamyśleniu i połyka kluskę.

— Aha, powiadam, nic nie rozumiem.

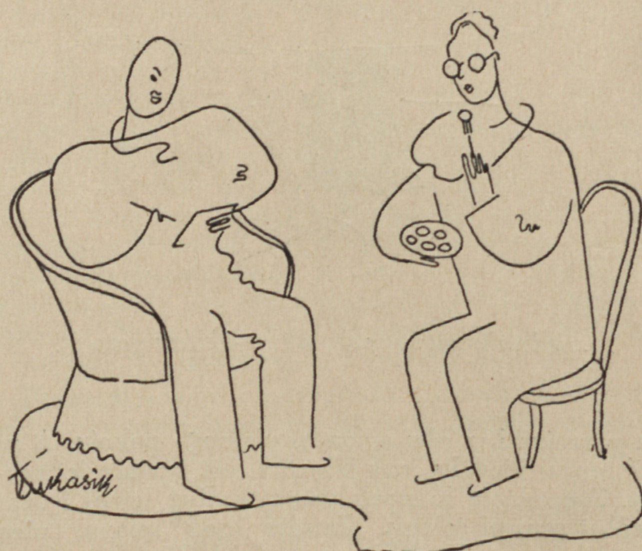
— Proszę pana—Świeca nabiera kapusty na widelec — czy laicy mogą wogóle zrozumieć na czem polega twórczość literacka? — Biologiczna racja istnienia, mówi dalej, odskok od rzeczywistości, od ciągłości szarego trwania, frazesy, proszę pana. Jadł pan kiedy takie — o, kluski?

— Kiedy naprawdę dziękuję... no, ale jeżeli tak koniecznie...

Świeca, jakby nie słysząc mojej odpowiedzi, ciągnie dalej:

— Te kluski, proszę pana, i ta zupa kartoflana oto są biologiczne racje istnienia. Conrad, proszę pana, epos bohaterstwa, Dostojewski — chirurgia żywej duszy, tudzież, jak się to mówi — Proust. Ale nie na pusty żołądek. Gastronomiczna racja istnienia, dodaje melancholijnie.

—A wpływy bezpośrednie? — pytam.



— Największy wpływ wywiera na mnie zawsze menu obiadowe. Pod działaniem pieczeni cielęcej ze śmietaną staję się lirykiem. A to niebezpieczne, proszę pana, n i e b e z p i e c z n e...

— Liryzm?!!! próbuję oponować.

— Śmietana, tylko śmietana, za bardzo rozstraja, mówi pisarz.

— Niech mi pan powie coś o swojej ostatniej powieści, rzucam zniechęcony.

— „Ciasto rośnie w Konstancinie" powstało przed piętnastu laty. Wtedy wymyśliłem tytuł. W dwa lata później napisałem wstęp i posłowie, potem stopniowo — rozdziałek za rozdziałkiem. O książce powiem krótko: wydawnictwo — Pacholczyk i S-ka, Lwów, Kraków, Bydgoszcz, Kalisz i Ostrołęka, stron 216 plus 5 plus 3 ndlb, cena zł. 1,82, do nabycia wszędzie.

Dziękując za cenne informacje o świetnym „Cieście", za które Świeca otrzymał właśnie nagrodę M. i H. G. D. zabieram się do odejścia.

— Zapomniałem panu powiedzieć, mówi jeszcze pisarz, że w najbliższym czasie kończę drugą powieść, za którą mam otrzymać nagrodę Towarzystwa Krwiodawców. Już mi ją obiecali na przyszły rok. Jak się do tego czasu nie zmieni zarząd, to znów z pół tysiączka kapnie.

— Jestem z prezesem na ty, dodaje i wypycha mnie grzecznie za drzwi.

Wracam do domu zamyślony. Po drodze wstępuję do małej traktjerni i zamawiam ogromną porcję kartoflanych klusek.

WIZERUNEK CZŁOWIEKA RUDEGO

POWIEŚĆ

W numerze dzisiejszym zaczynamy druk nowej powieści w odcinku „Świata“, Będzie to powieść z rodzaju tych, które przy wysokim poziomie kunsztu pisarskiego autora możnaby jednak zaliczyć do kategorji powieści sensacyjnych, czy detektywistycznych, czy jak tam chce to nazwać „pięknoduch“. Słowem — będzie to powieść zajmująca, której każdy odcinek zaostrzy ciekawość czytelnika, stawiając przed nim pytanie „co dalej“ — do samego końca niełatwe do rozwiązania, wobec tego, że autor, Hugh Walpole, nadzwyczaj ciekawie postawił charaktery głównych osób powieści.

Demon — czy poczciwiec? Mędrzec — czy obłąkany? Tyran czy niewolnik? — pytania te, narastające w miarę skłębiania się interesującej akcji powieści, znajdują swe rozwiązanie dopiero na samym końcu. Bieg akcji natomiast zdaje się co chwila przechylać naszą decyzję co do bohaterów to w tę, to w tamtą stronę — a mistrzowskie powikłanie wypadków przez Walpole'a trzyma w napięciu uwagę czytelnika aż do nieoczekiwanego i niemal paradoksalnego zakończenia.

Wybraliśmy dla naszych czytelników tę powieść jako lekturę zajmującą — ale bynajmniej nie lekturę „drugiej klasy“ — w przekonaniu, że w okresie wypoczynku wakacyjnego każdy chętnie oderwie się na chwilę od rzeczywistości i z zaciekawieniem śledzić będzie te dziwne dzieje ludzi niepodobnych do przeciętnego typu człowieka standaryzowanego. Ludzi, stworzonych przez wspaniałą wyobraźnię Walpole'a — ale ludzi pulsujących krwią, aktywnych, wszechstronnych, zaborczych, kochających i nienawidzących. Ci ludzie stają przed nami jak żywi, narzucają się nam swą obecnością z siłą niemal halucynacyjną, każą o sobie myśleć i pamiętać.

Morze jak tafla bronzu.

I.

Tyś druhem mi:
Ja byłem tym, z którym rozmawiał kniaź:
Jam księżnej pomógł jego jarzmo zerwać:
Więc teraz opowieści mej posłuchaj
Mój druhu!

II.

Ojczyzną nam jest wielki dziki kraj:
Gdybyś się wspiął aż na zamczyska szczyt,
Nie widzę, gdziebyś mógł zatrzymać wzrok;
Bo kiedy miniesz zbóż falisty łan,
Tam, gdzie się złotych winnic kończy wian,
Kłębi się owiec wiele stad,
Dalej się wiele pasie trzód,
A stamtąd już wzrok pędzi w dal —
Hen ku przestrzeniom górskich hal,
A dalej wierzchołki sterczą gór,
Dokoła których jak mnichów chór,
Albo pątników długi sznur,
Procesja świerków pnie się wzwyż,
By zstąpić po drugiej stronie w dół
W dzikszy i jeszcze większy kraj...
W dzikszy i jeszcze większy...

Dusza Karola Percy Harknessa wyfrunęła, niczem bielutka chusteczka z kieszonki, z okna wagonu w srebrno-błękitne przestworza, zawisła tam, zamieniwszy się w drobną białą plamkę na tle bezmiarów, wysilała się, by uciec ponad skąpane w purpurze wierzchołki drzew ciemnego boru, wkońcu, widząc, że cały ten trud był daremny, wfrunęła zpowrotem do przedziału, gdzie Karol Percy schwycił ją, złożył starannie i schował.

Wiersze Browninga — niemodne już, oczywiście — ożywiły na chwilę jej nadzieje. Te wiersze i kilka linij innej książki, niemniej już przestarzałej:

„Lecz czar tego zakątka odzyskał swoją władzę na nowo, narzucał się dzięki szykom swoich srebrem przepasanych rycerzy, zamczyskom, w groźny mrok spowitym i łąkom przecinanym strumieniami złocistymi i srebrzystymi.

„Odwieczny czar wciąż w tym samym celu działający. Ilekroć już i poco? Poto abyśmy sobie jeszcze raz przypomnieli, że istnieje jeszcze świat po za drzwiami naszego mieszkania, światło poza jego oknami, że istnieje szmer na schodach, i że na te właśnie rzeczy powinniśmy uważać i czekać“.

Należy bowiem zaznaczyć, że Harkness popełnił szaloną niedorzeczność, mianowicie trzymał naraz aż dwie otwarte książki na kolanach — przelotne spojrzenie to na jedną to na drugą, długie zachłanne wpatrywanie się przez okno w letni krajobraz, a przedewszystkiem ta ciężka, zmysłowa senność przyczajona tuż nad nim w upalne wonne popołudnie, gotowa do drapieżnego skoku... do skoku...

Najpierw Browning, a potem ten drugi, ta stara książczyna w wyblakłej czerwono-brunatnej oprawie: „D o R a j u“ Fryderyka Lestera. Na dole na karcie tytułowej data: rok 1892 — jakże to dawno temu! Jak wyblakła, jak patetyczna była ta stara książeczka. Chyba on jeden na obszarze całego Imperjum Brytyjskiego czytał ją w tej chwili, prócz nie-

go z pewnością nikt. Po przeczytaniu trzeciej stronicy wrócił do Browninga.

Przerwał czytanie w środku strofy. Rozległe łany podpłynęły ku niemu, niczem wielkie zielone fale, tuląc się miękko i pieszczotliwie do jego twarzy, zawisły nad nim, wplecione w druty telegraficzne, podnosząc się i opadając wraz z nimi...

Głos starca o długiej siwej brodzie, jedynego towarzysza podróży w przedziale, wdarł się ostrym zgrzytem w tę kojącą ciszę.

— Przepraszam pana, ma pan na szyi pająka!

Harkness zerwał się z ławki. Obie książki spadły na podłogę. Przesunął gorącą ręką po chłodnej szyi. Miał bowiem nieprzezwyciężony wstręt do pająków. Wzdrygnął się, chwycił go palcami i wyrzucił z dreszczem obrzydzenia za okno.

— Dziękuję panu — powiedział, rumieniąc się nieznacznie.

— Ależ niema za co, odparł poważnie starzec, pan już prawie spał, jeszcze chwila a miałby go pan za koszulą.

Nie był to starszy pan, jakiego możnaby się spodziewać w przedziale pierwszej klasy angielskich kolei, choć dziś, w tych demokratycznych czasach, właściwie każdego można spotkać wszędzie. Ale jednak podróż pierwszą klasą jest tak kosztowna... Może właśnie dlatego tylko ludzie naprawdę biedni mogą sobie na nią pozwolić. Ten starzec, chudy i krzepki, miał stare powykręcane buty, nie prasowane spodnie i wymiętoszony słomiany kapelusz. Był przeraźliwie chudy. Ręce miał kościste i sękate. Na kolanach trzymał potężny kosz, z którego wyjmował swój arcysolidny obiad — ogromny sandwich, z płatami szynki, przypominającymi płótna sztandarów, kolosalne jabłko, to znowu olbrzymią gruszkę.

— Pan daleko? — wymamrotał stary.

— Nie — odpowiedział Harkness, rumieniąc się nanowo — do Treliss. Mam się przesiąść w Trewth, o ile się nie mylę. Powinniśmy tam być o 4.30.

Powinniśmy tam być — powtórzył starzec, którego usta ociekały sokiem gruszki. — Pociąg jest spóźniony... Jeszcze jeden turysta — dodał nagle.

— Słucham pana? — wtrącił Harkness.

— Jeszcze jeden przeklęty turysta. Pana właśnie mam na myśli. Mieszkałem w Treliss. Tacy jak pan wypłoszyli mnie stamtąd.

— Przykro mi — odpowiedział Harkness uśmiechając się z zakłopotaniem — zdaje mi się, że właśnie jestem turystą, jeżeli pan przez to rozumie kogoś, kto podróżuje w celu zobaczenia jakiejś miejscowości, by ją poznać i nacieszyć się jej pięknem. Pewien przyjaciel mówił mi o Treliss, twierdził, że jest to najbardziej uroczy zakątek w całej Anglji.

— Piękny — odparł stary, oblizując palce — wy wszyscy turyści myślicie tylko o pięknie, wy z waszymi otwartymi autokarami, skórkami od pomarańcz i bachorami. Gdybym miał władzę, kazałbym Amerykanom płacić specjalny podatek za to, że tak niszczą nasz kraj.

— Jestem amerykaninem — zauważył Harkness półszeptem.

Stary oblizywał duży palec, popatrzył nań, oblizał go jeszcze raz:

— Tegobym nie przypuszczał. Gdzież jest pański akcent?

— Mieszkałem w Anglji przez szereg lat, z przerwami. Zresztą nie wszyscy amerykanie mówią tymi zwrotami, jakie powieściopisarze kładą im w usta— dodał z uśmiechem.

Tak, z uśmiechem. Jakim wstrętem jednak przejmowała go ta niemiła rozmowa! Jakże szczęśliwy był przed chwilą! Ten starzec swą brutalnością zniweczył jego spokój! Ale starzec już mówił niewiele. Wytrzeszczał na Harknessa niebieskie oczy i rzekł:

— Treliss jest za ładne dla pana. Ono panu zaszkodzi — i usnął.

Tak, pomyślał Harkness, patrząc na falowanie brody śpiącego starca, to dziwne, że tak się usuwam od wszystkiego. Dlatego nigdy nie zawieram przyjaźni, dlatego w trzydziestym piątym roku życia jestem kompletnym wykolejeńcem, to znaczy wykolejeńcem z punktu widzenia osiągnięć realnych.

Roztkliwiam się i lituję nad sobą — dodał w myśli, otwierając na nowo „Do Raju" i szukając strony czwartej — a takie roztkliwianie się jest przywarą godną pogardy.

A przecież można na niego było patrzeć bez przykrości, kiedy tak siedział w zamyśleniu. Ubrany był nadzwyczaj starannie, lecz ubranie jego robiło poniekąd wrażenie kolczugi. Czy dlatego, że wątła jego

postać nie mogła całkowicie wypełnić żadnego ubrania? Być może. Jego miękki biały kołnierzyk, blado-niebieski krawat, łagodne niebieskie oczy, długie spokojne palce, wszystko to tchnęło subtelnym wdziękiem. Niezbyt delikatni przyjaciele nazywali go „szczapą". Ale to nie było dla niego określenie właściwe. Był za delikatny, za łagodny, zanadto nieśmiały. Żadna „szczapa" nie uśmiechałaby się tak bojaźliwie.

Jego schludność, nieskalana czystość jego ubrania świadczyły o wybredności, która poniekąd usprawiedliwiała jego tchórzostwo.

Bo ja jestem tchórzem, pomyślał. Nie pierwszy to przecież urlop, który spędzam w zupełnej samotności. Samotny po tylu latach! I pomyśleć, że Pritchard, czy, Mason, major Stock czy Henryk Trenchard, Carstairs Willing albo Talk Brandon byliby pojechali ze mną bardzo chętnie, gdybym się był ośmielił... Sam Maradick byłby może nawet pojechał...

Jedynymi jego towarzyszami w tej podróży, rozmyślał dalej, były jego sztychy, droższe mu i bliższe i darzące go większym i serdeczniejszym uczuciem, niż jakakolwiek istota ludzka. Jego siedem sztychów — siedem z pośród czterdziestu jakie posiadał. „Droga Świętego Egidiusza", Lepère'a, „Chata na mokradłach", Legros'a, Rembrandta „Ucieczka do Egiptu", Muirhead Bones'a „Orviëto", Whistlera „Drury Lane", Stranga Autoportret i Meryona „Ulica des Chantres". Siedem sztychów, siedmiu najlepszych jego przyjaciół na świecie, jeśli nie liczyć Hetty i Jane, jego sióstr. Tak jest — zastanawiał się dalej — można człowieka sądzić po jego przyjaciołach, a ja w swojem tchórzostwie całe swe serce oddałem tym oto sztychom, dlatego, że one nie potrafią odpowiedzieć mi szorstkiem słowem, nie zawodzą mnie ilekroć od nich czegoś oczekuję, są zawsze przy mnie na zawołanie, nie zmienią się i nigdy mnie nie zdradzają. A jednak to wypływa nietylko z tchórzostwa. One są bliskie i indywidualne jak żadna forma sztuki graficznej. Są tak osobiste, że każde nowe wrażenie staje się czemś zupełnie świeżem i niespodziewanem. Są tak pełne wdzięku, tak uduchowione, że stoją poza czasem i nie zmieniają się nigdy. Moje Aldegraver'y i Pencz'y, pomyślał... Czuł się teraz troszeczkę szczęśliwszy... Wiersze Browninga i „Do Raju" spadły na podłogę. Miejmy nadzieję, że ten stary nie obudzi się, pomyślał, gotów jednak przejechać swoją stację. Jaki on będzie wściekły, jeżeli tak się stanie, a wtedy ja znów będę za to pokutował!

Przeczytał znowu strofę Browninga:

Ojczyzną nam jest dziki wielki kraj;
Gdybyś się wspiął aż na zamczyska szczyt,
Nie widzę, gdziebyś mógł zatrzymać wzrok.

Jakie to dziwne, że otworzył książkę na temsamem miejscu, co przedtem, jakby komuś, czy czemuś specjalnie zależało, by to właśnie czytał!

A potem „Do Raju" parę wierszy na stronie 376. „A srebrny Guz"? Czy jego odpowiedź także będzie wyzwaniem? Czy posiadał on jakąś tajemniczą siłę? Czy był mocniejszy od Boga?

Harkness zaczął zastanawiać się nad faktem, że był Amerykaninem. Odczuwał dumę, kiedy oznajmiał temu staremu, że taka była jego narodowość. Był z tego dumny, owszem, ale mimo to spędzał większą część swego życia w Europie. I znowu, jak zwykle, ilekroć myślał o Ameryce, wyobraźnia jego powędrowała do ojczystego miasteczka Baker w stanie Oregon. Wszystkie wielkie ekspresy przejeżdżają tamtędy, zmierzając ku wybrzeżu — trzysta pięćdziesiąt mil od Portland, pięćdziesiąt mil od Huntington. Widział siebie samego podczas takiego utęsknionego przyjazdu, po wyjeździe z Salt Lake City o godzinie jedenastej trzydzieści, zajeżdżającego na miejsce o czwartej trzydzieści popołudniu, w piękny majowy dzień, kiedy łagodny fiolet jaśnieje na niebie, od którego delikatnie odcinają się szare kontury gór, a wszystko tak jest pełne spokoju i uroku. A kiedy pociąg ruszył dalej, znajdziesz, rozejrzawszy się, wszystko dokładnie takiem, jakieś je zostawił rok temu: Kawiarnia Columbia, Hotel Antlera.

(D. c. n.)

Zabawa czy celowa aktywność?

Automobilklub Polski wznowił w bieżącym sezonie dawną tradycję raidów międzynarodowych, zarzuconą od lat kilku z powodu znanego beznadziejnego stanu naszej motoryzacji. Wznowienie to powita każdy automobilista z radością, a każdy przytomnie myślący obywatel — z uznaniem. Bo taki raid jest czemś więcej, jak tylko „zabawą" kilkunastu panów, kręcących zręcznie kierownicą. Taki raid jest najświetniejszą propagandą samochodu wobec ogółu obywateli, taki raid jest też pobudzeniem ambicji naszych kierowców wobec zagranicy, taki raid jest pozatem doskonałą propagandą piękna Polski wobec cudzoziemców, którzy do nas przy tej okazji przyjeżdżają.

Raid tegoroczny był już w swem założeniu bardzo interesujący. Trasę ułożono w ten sposób, że składała się ona z trzech etapów: każdy zaczynał się i kończył w Warszawie. Warszawa — Gdynia i z powrotem, Warszawa— Augustów i z powrotem, Warszawa — Równica i z powrotem. Trasa ta stawiała kierowcom duże wymagania, nie unikano trudności, etapy były dość długie — w sumie wynosiły 2.672 kilometry.

Z Warszawy do Gdyni przez Modlin, Rypin, Grudziądz, Starogard — razem 404 kilometry. Parę godzin odpoczynku i droga powrotna do stolicy przez Wejherowo, Kartuzy, Bydgoszcz, Inowrocław, Włocławek, Kutno, Łowicz. Razem kilometrów 553.

„Zasłużonego odpoczynku" niema. Natychmiast prawie wozy startują do drugiego etapu, przez Łomżę, Grajewo do Augustowa — razem 240 kilometrów. Tam nareszcie można odsapnąć: wygodny nocleg nad wspaniałem jeziorem, rano orzeźwiająca kąpiel w jeziorze, o 10-ej start w kierunku Warszawy. Trasa przez Grodno, Słonim, Małkinię, Ostrów Mazowiecki wynosi 587 kilom. W Warszawie noc i cały dzień odpoczynku, nazajutrz start na noc na Śląsk. Trasa przez Raszyn, Tomaszów, Piotrków, Częstochowę, Katowice, do Równicy — ogółem 428 kilometrów. W Równicy próba szybkości górskiej i start powrotny bez odpoczynku, trasą na Katowice. Częstochowę, Piotrków, Łódź, Łowicz do Warszawy. Kilometrów 480.

Jak widać— przy układaniu trasy słusznie uwzględniono momenty turystyczne i chęć zainteresowania uczestników raidu pięknem polskiego krajobrazu — morza, polskich jezior i gór. Dano naprawdę maximum możliwości poznania Polski w obrębie jednego raidu. Tyle co do walorów turystycznych. A co powiedzieć można o walorach technicznych raidu?

Przedewszystkiem to, że nie był on wcale łatwy. Stawiał kierowcom i maszynom bardzo duże wymagania, i uważać należy za wielki sukces kierowców polskich, nie mających w ostatnich latach prawie żadnego treningu raidowego — że w obecnym X Raidzie Międzynarodowym Automobilklubu Polski zajęli miejsca doskonałe, wykazując wielką wytrzymałość, świetne opanowanie wozu i wysoką technikę. Na startujących 25 wozów ukończyło raid w ogólnej klasyfikacji 19, co uważać należy za rezultat doskonały.

Według narodowości startowało 17 polaków, 1 jugosłowianin, 1 zawodnik czechosłowacki, 6 niemców.

W klasyfikacji zwycięzców notujemy według oficjalnego sprawozdania:

W kategorji samochodów dużych polski kierowca Mazurek na Chevrolecie zajął I miejsce. Za nim zawodnik czechosłowacki Vojtechovsky, dalej polacy Rychter, J. Nowak i Sporny.

W kategorji samochodów lekkich pierwsze miejsce uzyskał wytrawny stary kierowca niemiecki, który już, jak to mówią, „zęby zjadł" na raidach tego rodzaju, v. Guilleaume. Jechał na Adlerze. Za nim, na tej samej marce Orssich, Sauerwein (obaj niemcy), oraz na Mercedes - Benz dwaj niemcy Rauch i Kraus. Kierowca polski, Kasperowicz, na Steyerze, zajął najniespodziewaniej szóste miejsce w tej groźnej konkurencji — a podkreślić trzeba, że walka toczyła się o różnicę paru zaledwie punktów: Guilleaume w ogólnej punktacji miał 3.117,51 punktów, a Kasperowicz 3.107,22. Różnica, jak widać naprawdę minimalna. Za Kasperowiczem był Bellen na Fiacie i Schneider na Mercedes-Benz.

W kategorji samochodów małych polak T. Marek był jedynym zawodnikiem.

W kategorji samochodów najmniejszych pierwszy był Kołaczkowski na D. K. W., za nim Siemiątkowski na Polskim Fiacie, trzeci Paczesny na D.K.W., czwarty Strenger na D. K. W., piąty Prądzyński na Skodzie.

Zespołowo — pierwsze miejsce zdobył team Adlera, drugie team D. K. W., trzecie — team Mercedes-Benz.

Jak wykazał raid, kierowcy polscy stanęli na wysokości zadania, a maszyny typów biorących udział w raidzie wytrzymały nasze niewszędzie dobre drogi. Kierowcy zagraniczni wykazali duże zainteresowanie raidem, wyjeżdżali zadowoleni i żegnali się słowami: „Do zobaczenia w roku przyszłym, na XI Raidzie Międzynarodowym Automobilklubu Polski". Była to niewątpliwie dla organizatorów raidu najmilsza forma uznania— i życzyć sobie należy, aby teraz gdy Polska po kilku latach nieobecności wróciła znowu na listę krajów zmotoryzowanych i uprawiających sport samochodowy — miejsca tego już nie opuszczać i co rok, bez względu na trudności, raidy turystyczne po naszym kraju organizować.

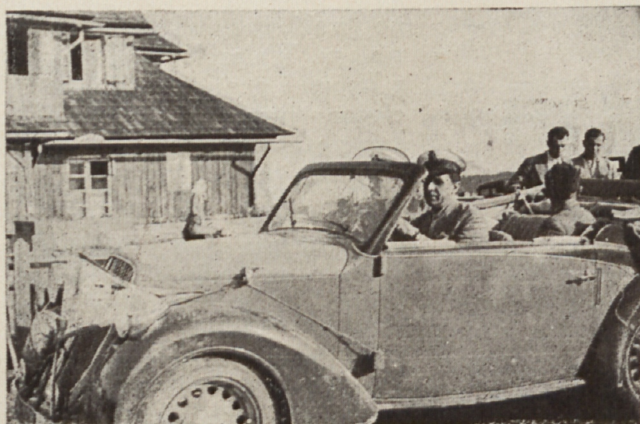
B. P.

Zaznaczyć należy, że wszyscy zwycięzcy tego raidu stosowali świece BOSCH'a i w większej części wozy ich wyposażone były w całkowity sprzęt BOSCH'a. Generalne przedstawicielstwo wyrobów firmy ROBERT BOSCH SA, na Polskę, mieści się w firmie BE-TE-HA w Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej 17, gdzie znajduje się też wzorowo urządzona stacja obsługi BOSCH.



TEAM SERYJNYCH 4-o OSOBOWYCH WOZÓW TURYSTYCZNYCH MERCEDES-BENZ UKOŃCZYŁ X RAID A. P. BEZ NAJMNIEJSZEGO DEFEKTU, PRZYCZYM KIEROWCA H. RAUCH ZDOBYŁ NAGRODĘ ZA NAJWYŻSZĄ I NAJRÓWNOMIERNIEJSZĄ SZYBKOŚĆ RAIDOWĄ!

PARĘ UWAG O WOZACH III KATEGORJI W X RAIDZIE A. P.



Wice Komandor St. Barylski na Steyerze

Dla zorjentowania się w poszczególnych klasyfikacjach prób podczas X Raidu Międzynar. A. P. nieocenioną usługę oddaje nam arkusz numeracji uczestników X M. R. A. P., wywieszony w Automobil Klubie Polski.

Dla orjentacji podajemy wyciąg z tabeli:

Ogolna punktacja za jazdę okrężną			Wyścig górski	Wyścig płaski
7	Mercedes	+ 3.600	+ 8,64	+ 16,49
8	„	+ 3.598	+ 8,83	+ 16,—
9	„	+ 3.600	+ 8,45	+ 16,15
14	Fiat	+ 3.600	+ 9,07	+ 16,54
15	„	+ 2.400	z powodu defektu	wycof. z konkur.
16	Steyer	+ 3.600	+ 9,20	+ 16.82

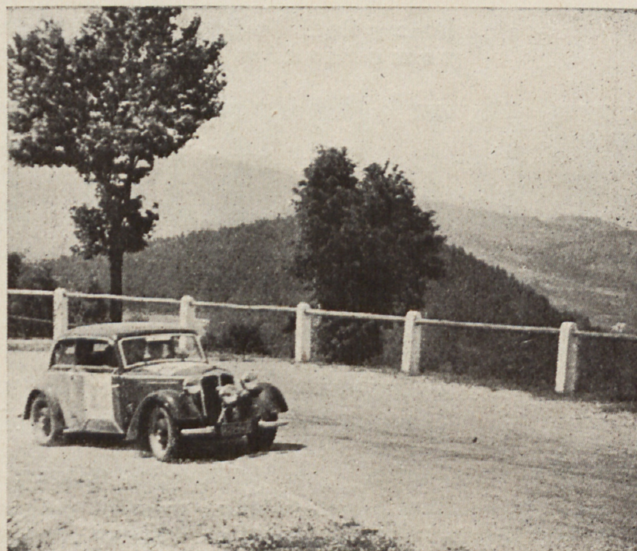
Przegląd tabeli wykazuje na pierwszem miejscu Steyera, prowadzonego przez b. ambitnego amatora, biorącego pierwszy raz udział w Raidzie, a więc nie posiadającego doświadczenia rajdowego. Przy kierownicach innych wozów zajęli przeważnie miejsca zawodowi kierowcy fabryczni, biorący udział w Raidach od szeregu lat.

W dodatku dziwnie zachował się oddział fabryczny koncernu Steyer - Daimler - Puch, który zupełnie nie interesował się jedynym kierowcą p. inż. Kasperowiczem, startującym na Steyerze. Pan inż. Kasperowicz uprawia sport automobilowy dla własnej przyjemności, podziwiać należy imponujący jego wynik w tak ciężkim Raidzie. Samochód Steyer p. K. miał za sobą już 30.000 klm. i stanął do raidu bez żadnych przygotowań, bez przejrzenia wozu i bez zagwarantowanej odpowiedniej obsługi na drodze.

Dla kontrastu nie można tu pominąć świetnej organizacji, przygotowania i ekwipunku samochodów Mercedes.

Gdyby więcej sportsmanów poszło w ślady p. inż. Kasperowicza i stworzył własny zespół Steyerowski, to mimo obojętności oddziału fabrycznego Steyer, napewno zdobyliby oni pierwsze miejsca zespołowe mając wozy tej wartości.

SAMOCHODY D. K. W. NA X RAIDZIE MIĘDZYNARODOWYM



For. Kołaczkowski na samochodzie D. K. W. podczas próby górskiej pod Równicą

W pierwszej kategorji wozów najmniejszych prawdziwą rewelacją były wozy DKW. i trzeba przyznać, że z wozów małolitrżowych i tanich są one jedyne, które zdały celująco zarówno egzamin wytrzymałości, jak i szybkości. Wszystkie 3 wozy, z których jeden miał za sobą 20.000 kilometrów po polskich drogach, przebyły wszystkie etapy Raidu bez punktów karnych i do ostatniej próby stanęły w pełnem zdrowiu. Pamiętać należy, że zespołowo wozy te ulokowały się na II miejscu przed zespołem Mercedesa, tuż za Adlerami, co tem godniejsze jest uwagi, że zarówno Adlery jak i Mercedesy startowały w wyższej kategorji, jako wozy kilkakrotnie mocniejsze.

Słówko wspomnieć należy również o młodych polskich kierowcach, którzy na tych wozach jechali. Nie dziwimy się zupełnie, że byli oni nieco „speszeni" przy starcie, startując na wozach seryjnych, wobec groźnej konkurencji zespołów fabrycznych, odpowiednio przygotowanych, zaopatrzonych we wszystkie części zapasowe oraz kierowanych przez asów, którzy niejedną podobną próbę przeszli zwycięsko. Dlatego też osiągnięcie wysokich średnich szybkości na małych wozach podkreślić należy jako doskonały wyczyn, który stawia wartość ich wyników ponad wynikami kierowców maszyn dużych. Chcemy tu podkreślić doskonale opanowaną jazdę zdobywcy Złotego Puharu Automobil - Klubu Polskiego — por. Kołaczkowskiego, który na samochodzie DKW. zajął I miejsce, oraz wyniki osiągnięte na tychże wozach przez pp. Tadeusza Paczesnego i Jerzego Strengera.

Astronomja

Nie będzie mowy o gwiazdach. Nic się na nich nie znam. Mowa będzie o astronomicznych liczbach. Proszę sobie wyobrazić, że na jednej z ostatnich licytacyj publicznych w Paryżu — kolekcja bibljofilska niejakiego pana Edwarda Rahira została rozproszona w ciągu czterech dni, które przyniosły ogółem okrągłą sumkę 20 miljonów franków. Tak jest, dwudziestu miljonów. Za same książki... Piąty dzień, „dodatkowy" taki gdzie już sprzedawano tylko wybierki, dał „zaledwie" — dwa i pół miljona.

Sensacją najwyższą tej niebywałej, nawet jak na Paryż, licytacji była sprzedaż siedmiu tomów Molièra w wydaniu z roku 1675, w oprawie z epoki. Książeczki te, ocenione w katalogu na 20 tysięcy franków, osiągnęły cenę 135 tysięcy, po gwałtownej walce na dziesiątki tysięcy. Walczył pewien księgarz z Lyonu i pewien rumuński kolekcjoner prywatny, pan Mircea. Zwyciężył ten ostatni.

Brawo, Rumunja! Zdaje się, żeśmy trochę nie doceniali jej upodobań kulturalnych i artystycznych. Gdzież są polscy bibljofile tej klasy?

Z TEATRU NARODOWEGO

Sprawozdanie ze sztuki Zawieyskiego „Powrót Przełęckiego" zamieścimy z powodu nawału materjału bieżącego — w najbliższym numerze.





Na prawo. Marja Modzelewska w roli Smugoniowej

Na lewo: Brydziński i Dominiak

CZY PANI WIE, ŻE...

BYĆ ELEGANCKO UBRANĄ

to jednocześnie trudne i łatwe zadanie. Trudne tylko dla tych pań, które uważają, że elegancja wymaga ogromnych wydatków i nader kosztownych strojów. Tysiące pań pracujących mówią zniechęcone: „Ja nie mam na to... A nie mam także czasu na samodzielne kombinowanie toalety, na dobieranie szczegółów żeby wszystko było sharmonizowane. Więc nie mogę być dobrze ubrana"...

Pogląd mylny, proszę pani. Nasze czytelniczki już wiedzą, co się robi, aby być ubraną elegancko, modnie, w dobrym guście — a niekosztownie. Jest przecież w Warszawie Dom Mody, który sobie postawił za dewizę: szyk, moda, a mimo to przystępne ceny. Tam więc kieruje swe kroki elegancka pani, gdy chce wybrać piękną suknię, płaszcz, kostjum, bluzeczkę czy kapelusz.

Wszystkie panie już się domyślają, że mówię o ulubionym Domu Mody p. f.

KLEMENTYNA KOZŁOWSKA

Zasadą tego niezmiernie wśród pań popularnego Domu Mody jest: zadowolić klijentkę, ubrać ją modnie i gustownie, stosując ceny niewygórowane. Dlatego sympatyczna ta firma zdobyła niezliczone rzesze wiernych klijentek wśród pań, które lubią naprawdę wytwornie się ubrać, a nie chcą się na stroje rujnować. Jak niezawodne hasło podają sobie przyjaciółki ten adres:

Dom Mody p. f.
KLEMENTYNA KOZŁOWSKA
Al. Jerozolimska 37
(obok Hotelu Polonia)
tel. 9-89-82.

■

...podczas upałów najłatwiejszym sposobem uzyskania natychmiastowej ochłody jest puszczenie z kranu silnego strumienia wody na zgięcie ramienia w kiści lub w łokciu, tam gdzie pod skórą widoczna jest tętnica. Krew ochładza się odrazu bezpośrednio i następuje ogromna ulga w nieznośnem uczuciu rozpalenia całego ciała.

■

...bardzo są modne w Paryżu rękawiczki i torebki ściśle ze sobą dobrane, z białej piki, bogato zahaftowane w desenie o motywach kwiatów i motyli. Nader łatwo każda z pań wykona taki haft sama — ścieg wcale nie musi być wymyślny ani bardzo drobny. To bardzo elegancko, posiadać takie „unikaty", których żadna przyjaciółka w żadnym sklepie nie kupi, jeśli będzie chciała, jak zwykle, ślepo się na pani wzorować...

■

...szyby w domach letniskowych zwykle pozostawiają wiele do życzenia. Doprowadzimy je do porządku i do lśniącej przejrzystości, zwilżając je octem albo kwasem solnym bardzo rozcieńczonym. Zmyć je potem wodą letnią czystą, wytrzeć wkońcu „do glansu" jakąkolwiek gazetą. Wiadomo, że papier gazetowy świetnie czyści szyby i lustra.

■

...usiąść na „świeżo malowanem" to istotny dramat! A bardzo częsty w lecie, gdy wszyscy nagwałt odnawiają i odmalowują ławki, ogrodowe krzesła, i t. d. Ratunek musi być natychmiastowy. Jeżeli suknia jest lniana, to trzeba plamę zanurzyć w benzynie, namoczyć ją przez czas jakiś, i trzeć czystym kawałkiem płótna, namoczonym także w benzynie. Potem sprać w wodzie gorącej.

Wełniane tkaniny czyścić inaczej — nałożyć na plamę niesolonego świeżego masła, spierać letnią wodą mydłem najlepiej barskim lub korzeniem mydlika.

Jedwab czyścić chloroformem — jednak tego środka dostać nie można w aptece bez recepty. Plamę natrzeć najpierw niesolonem masłem lub chloroformem z olejkiem terpentynowym. Nałożyć na to papkę z palonej magnezji z eterem. Po zaschnięciu delikatnie zeskrobać, nie uszkadzając materji, i zmyć ślady eterem lub benzyną. Poczem starannie wyprasować, położywszy splamiony jedwab między dwie bibuły od atramentu, które wchłoną przy rozgrzaniu wszelkie ewentualne resztki tłuszczu.

■

...elegancka pani, do modnej kolorowej sukni dobiera odpowiednie kolorowe obuwie. Ale wytworne obuwie musi być odpowiednio pielęgnowane. Płyn DOBROLIN o mlecznej barwie zbiera brud i nadaje kolorowemu obuwiu połysk i pierwotny wytworny wygląd.

Sprzedawany jest w wygodnych do użytku, kobaltowych słoikach.

Dama Pikowa.

ZMIANA ADRESU „ŚWIATA"

W pierwszych dniach lipca r. b. Redakcja i Administracja „ŚWIATA" przeniesione zostaną do nowego lokalu:

NOWY ŚWIAT 26 w Warszawie

Telefony Redakcji i Administracji „Świata" oraz konto P.K.O. pozostają bez zmian

Szczyty.

Do różnych „szczytów" naszego stulecia przybył ostatnio w Sowietach — szczyt upodlenia. Prasa donosi, że żony straconych ostatnio generałów sowieckich „zgłosiły na ręce Stalina wiernopoddańcze deklaracje, wyrzekając się mężówzdrajców".

■

....najnowsza amerykańska metoda pielęgnowania twarzy polega na... przepraszam, ale niestety... na mordobiciu. Tak jest: już nie delikatne klapsy w policzki, ale wręcz brutalne uderzenia pięści mają jakoby najskuteczniej przeciwdziałać więdnięciu skóry i rozleniwieniu mięśni twarzy. Czyli, że dbająca o swą urodę kobieta będzie prosiła od jutra swego kochającego małżonka: najdroższy, zbij mnie dzisiaj — ale mocno... i nie będzie w tem żadnej perwersji — będzie tylko staranie o zachowanie młodości.

ŚWIAT FILMU

Walt Disney nakręca filmy długometrażowe

Prasa amerykańska podaje tekst ciekawego telegramu, otrzymanego przez Walta Disney'a od agencji Williama Morrisa, New York-Londyn. Potężna ta agencja oferowała Disney'owi milion dolarów za prawa eksploatacji jego pierwszego długometrażowego filmu p. t. „Królewna Śnieżka" na obszar W. Brytanii. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak kolosalna jest to suma. W porównaniu z tym, co wielkie obrazy są w stanie wyciągnąć z obszaru W. Brytanii, suma miliona dolarów jest 3—4-krotnie większa. Mimo to, Walt Disney ofertę odrzucił, a to z tego powodu, że zawarł on kontrakt stały z wytwórnią RKO Radio, która to wytwórnia ma prawa eksploatacji filmów jego na cały świat.

„Królewna Śnieżka i Siedem Karzełków" — to film, który jest już prawie gotowy. Ma on 2.000 kilkaset metrów i zapowiada się jako największa sensacja filmowa,



jako przełom w dziedzinie filmów rysunkowych. Nakręcony cały kolorowo, posiada — jeśli można to w ten sposób określić — bajeczne dekoracje, fenomenalne pomysły, tricki rysunkowe i minimalną ilość dialogu, ograniczającą się zaledwie do kilku zdań. Fragmenty tego filmu wyświetlane na pokazach w Ameryce, wzbudziły najwyższy entuzjazm.

Ciekawą jest rzeczą, że film ten, jeden z najdroższych, jakie kiedykolwiek zrealizowano w Hollywood, nakręcony jest całkowicie za pieniądze uzyskane przez Walta Disney'a z reklamy jego filmów. Powyższe zdanie jest absurdalne tylko na pozór, a dla nas wszystkich w Europie całkowicie niezrozumiałe. Jednak Walt Disney i jego produkcja — to jedyny artykuł na świecie, któremu płacą za pra-



wo jego reklamowania. Tak np. wytwórnia zegarków, która na tarczy chciała umieścić rysunek Myszki Mickey zapłaciła Walt Disney'owi za prawo umieszczenia tej myszki na tarczy przeszło 100.000 dolarów. Szereg wydawnictw wychodzących w całym świecie p. n. „Myszka Mickey" płaci Disney'owi 5% od obrotu brutto, co wziąwszy pod uwagę, że pisma te mają w Anglii po 600.000 egzemplarzy nakładu, przynosi mu rocznie kolosalne sumy. Takich okazji ma Walt Disney tysiące. Ktokolwiek reklamuje jego „gwiazdy" ten dopłaca mu jeszcze za prawo tej reklamy. Po tym wyjaśnieniu zrozumiałym się staje zdanie, że film „Królewna Śnieżka i Siedmiu Karzełków" nakręcony został za pieniądze uzyskane z reklamy dodatków Walta Disney'a.



Szef propagandy Disney'a jest jedynym na świecie szefem wydziału reklamowego, który nie wydaje, lecz zarabia pieniądze. Jedynym człowiekiem, który swemu szefowi Disney'owi wniósł półtora miliona dolarów na nakręcenie pierwszego długometrażowego filmu.

V-ty Festival Teatrainy w Z.S.S.R.

Opera „Rusłan i Ludmiła" Glinki w Wielkim Teatrze Akademickim w Moskwie

Wystawienie nieśmiertelnej opery Glinki „Rusłan i Ludmiła" przez Wielki Teatr Akademicki w Moskwie, stanowi ewenement w życiu sowieckiej sztuki teatralnej.

Ludowość, fantazja, głębia myśli, zdumiewająca miękkość i poezja w każdym tonie — wszystko to po mistrzowsku łączy się w tej operze. Pomimo swego „wieku" opera „Rusłan i Lumiła" nic nie straciła na swej aktualności.

Opera „Rusłan i Ludmiła" jest pierwszą z oper, opartych na tematach Puszkina. W operze tej jest wprawdzie mało oryginalnego tekstu puszkinowskiego, a mimo to jednak kompozytor zdołał, jak nikt inny oddać w swym utworze cały czar poezji i potęgę genjuszu wielkiego poety.

Pogodną muzykę „Rusłana i Ludmiły" cechuje bogactwo stylu i obfitość barw.

Glinka — geniusz narodowy potrafił dać w tej operze syntezę ludowej twórczości pieśniarskiej. Kompozytor nazwał swą operę „czarodziejską", łącząc w nie harmonijny splot legendy przodków, fantazje poetyckie oraz momenty realistyczne. Utrzymanie równowagi pomiędzy tymi pierwiastkami stanowi największą trudność przy wystawianiu tej opery; warunek ten potrafił spełnić Teatr Wielki, czym się tłomaczy osiągnięty sukces.

Prapremiera „Rusłana i Ludmiły" odbyła się w Petersburgu w 1842 r., odbiegając jednak znacznie od oryginału: „znawcy" ówcześni „poprawili" operę, usuwając z partytury całe ustępy i zastępując je innymi wstawkami. Glinka z bólem serca musiał zgodzić się na te okaleczenia, bez których opera nie mogła by być wystawiona w teatrze carskim. Opera cieszyła się mimo to wielkim powodzeniem, o czym świadczyć może rekordowa na owe czasy ilość przedstawień — 32 w jednym sezonie.

W następnych latach wielokrotnie wznawiano tę operę, wystawa jednak grzeszyła zawsze prostactwem, pretensjonalnością i brakiem zrozumienia dla genjuszu Glinki.

Tym większe wymagania postawił sobie Teatr Wielki, przystępując do wystawienia „Rusłana i Ludmiły". Artysta ludowy Samosud sprostał jednak tym wymaganiom dzięki swej muzykalności oraz zdolnościom reżyserskim i organizatorskim. Wystawa odznacza się lekkością wprost feeryczną, nie spycha muzyki na dalszy plan, lecz uwypukla jej doskonałość i wyszukaną prostotę.

Podkreślić należy wysoki poziom techniczny wystawy. Latające dzwony „stoliczki — nakryj się" mówiąca głowa, fruwający balet i inne cuda nie sprawiają sztucznego wrażenia, lecz składają się na żywe barwne widowisko.

Bez zarzutu gra orkiestra pod batutą Samosuda. Zasłużone oklaski zbiera balet, odgrywający w operze poczesną rolę.

Partię Ludmiły odtwarza znana publiczności polskiej Barsowa, skończona artystka zarówno pod względem wokalnym, jak i scenicznym.

Goście V Festiwalu Teatralnego, który odbędzie się we wrześniu b. r. w ZSRR będą mieli możność podziwiania tej opery na scenie Wielkiego Akademickiego Teatru Moskiewskiego.



MARGO — główna odwórczyni filmu p. t. „Winterset" („Żywe Cienie"). Film ten uzyskał pierwszą nagrodę, jako najlepszy film roku, w Ameryce. Fot. R.K.O. Radio

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a